ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK V. NR 45/229

LONDYN, NIEDZIELA 11 LISTOPADA 1951 R.

KS. WŁODZIMIERZ CIEŃSKI

NA FERGAŃSKIM ROZDROŻU*)



KOBIETY POLSKIE WYWIEZIONE W GŁĄB SOWIETÓW

WYPRAWA W STEP

Pociąg z Taszkentu zawiózł mnie do 5-tej dywizji w Dżałabadzie, idąc wzdłuż doliny Fergańskiej. Dnem jej płynie Syr-Daria, mająca swe źródła na wschodnim krańcu doliny. Rzeka płynie ku północy i wpada do jeziora Aralskiego. Siostrzana Amu-Daria wlewa się do tego jeziora od południa.

Syr-Daria swoim bardzo szerokim korytem rozdziela na dwa pasma wyżynę Tien-Shanu, która powstaje z górzystych pasm Mongolii. Dolina Syr-Darii i cała wyżyna którą ona opływa, jest bardzo urodzajna. Przed rewolucją październikową był to tak zw. „raj kirgiski", karmił on swymi bogactwami rolnymi ogromne stada bydła bardzo bogatych plemion, przeważnie koczowniczych.

Na południe doliny Fergańskiej wśród niebotycznych pasm górskich wznosi się Pamir — „Dach świata".

Mieliśmy właśnie przejechać południową część tej doliny, gdzie ku wschodowi rozsiadło się na wzgórzach, poprzecinanych szerokimi dolinami, miasto Osz, a na południowy-zachód od niego Andiżan, stolica Kirgizji. Stare miasto Osz leży u stóp wzgórza, na którym rozmieściło się nowe miasto w bardzo pięknych ogrodach wśród platanów, charakterystycznych dla tamtejszych okolic.

Od starego miasta dolina, poprzerzynana strumieniami i rzeczkami, zniża się ku Syr-Darii. Zdaje mi się, że po stronie wschodniej Osz, już w dolinie, u samych bram miasta wznosi się ogromna skalista góra, która zamyka drugą część doliny i zmusza wędrowca do nakładania drugiej drogi, by się dostać do południowych okolic tego miasta, idąc od wschodu.

Dziś pokrywają dolinę Fergańską ogromne łany bawełny. W okresie kwitnienia łany te zaścielają białe i różowe kwiaty. Co krok widzi się niezmiernych rozmiarów wysokie sterty bawełny, które w górze sczerniały od deszczów zimowych. Stoją te sterty całymi latami, nie mogąc się doczekać transportu. Z boków rozerwane, czy przez wiatry, czy przez zwierzęta szukające w nich schronienia, bieleją na kształt ścian czy nierównych murów i zszarpane niszczeją bezużytecznie.

Dolinę w stronach dalszych od Syr-Darii przerzynają od pradawnych czasów rowy, tak zw. ariki, które nawadniają urodzajną, ale bezwodną pustynną ziemię. Znajduje się tu mnóstwo pięknych oaz z drzewami owocowymi. Zwłaszcza granaty pokryte czerwonym kwieciem wyglądają pięknie jak wielkie purpurowe banie.

Wzdłuż arików odcina się specjalna zieleń morw. Mnóstwo ich, dbały o kulturę gospodarczą reżym, nakłania mieszkańców do hodowli jedwabników. W jednej ze wsi kirgizkich widzieliśmy instruktorkę Rosjankę. Sprawowała w tym sezonie opiekę nad taką chałupniczą hodowlą we wszystkich okolicznych wsiach. Jednak w tym pięknym i egzotycznym otoczeniu osoba jej wydawała się czymś obcym i dodanym z zewnątrz. Niosła mu na tych parę tygodni niby to dobrodziejstwa postępu. Pokazywała nam po chałupach kirgizkich tę hodowlę, której owoce w postaci kokonów oddawano do fabryki wyrobów jedwabnych.

Bardzo mało spotyka się tutaj ptaków i zwierząt. Zezwolenia na polowanie wyniszczyły zupełnie zwierzostan. Na niebie pokaże się czasem wielki orzeł, a po ziemi przemknie stadko popielatych kóz z czarnymi ogonkami i czarnymi, w tył zakrzywionymi, cienkimi różkami. W Persji i w Iraku pląta się mnóstwo tych kóz.

Dawniej była tu obfitość bażantów, kuropatw i innego ptactwa. Jeszcze kilka lat po rewolucji było tu mnóstwo zwierzyny. Wśród mieszkańców panowało bogactwo. Teraz wśród ludzi panuje nędza a życie zanikło nawet wśród zwierząt. Zniszczenie jest widoczne wszędzie pod rządami marksistowskiej utopii.

Gdzie nie ma wody tam pusto, choć inna to pustynia niż w Turkestanie. Nieraz szliśmy długie godziny wśród pustego kraju, spotykając tylko dużo wszelakiego gadu.

Na odpoczynek siadaliśmy bardzo regularnie. Przestrzegałem tego jako kierownik wyprawy, byśmy nie stracili sprawności przez jakieś niedopatrzenie. Nasza towarzyszka nosiła w plecaku jakieś ogromne wydanie „Pana Tadeusza" i w chwilach odpoczynku czytała nam wyjątki.

Słońce prażyło i zmuszało do wstępowania do każdej napotykanej „czajni" po „kipiatok", bo to był jedyny dostępny napój, a równocześnie w tym upale jedyny bezpieczny środek zaspokojenia pragnienia bez narażenie się na paratyfusy przeróżnych rodzajów i inne choroby.

Słońce świeciło ślicznie, nadając całej, ostatecznie smutnej okolicy jakiś raźniejszy wygląd. Wszystko na co patrzyliśmy u ludzi tak swoich jak i u tubylców, było związane z cierpieniem i ogromną niedolą.

Oddział PWSK zebrał z własnej inicjatywy wśród ochotniczek 5-tej dywizji sporą sumę, zdaje mi się, że około 20 tys. rubli (cyfry tej nie jestem dziś pewny) dla nas i na pomoc dla potrzebujących, spotykanych po drodze. Muszę przyznać, że suma ta bardzo nam pomogła, gdyż ze sobą miałem zaledwie niewielką kwotę i nie wiem jak byłbym sobie poradził, nie mówiąc już o tym, że nic nie byłoby pozostało na pomoc nędzy, z którą się spotkałem.

Ochotniczka, upatrzona przez komendantkę na towarzyszkę naszej wyprawy, nie wróciła na czas z objazdu w terenie, dokąd zawiozła lekarstwa. Przeznaczono więc pielęgniarkę ze szpitala wojskowego, p. Wandę C.

Postanowiłem wziąć ze sobą subdiakona oblatów, ks. Dzierżka. Imienia jego nie pamiętam. Był on zajęty w kancelarii Szefostwa Duszpasterstwa dywizji 5-tej.

Ruszyliśmy, niosąc chlebaki, manierki i plecaki. Bardzo wygodny angielski sposób noszenia ich ułatwiał dźwiganie dość dużego ciężaru. Pierwszym etapem była podchorążówka artylerii w Karasie. Kapelanem był tam ks. Tadeusz Zabłudowski. Zorganizował on przy pomocy Dowództwa (dowódcą był przybyły z Anglii późniejszy generał, wówczas pułk. Ząbkowski) dużą ochronkę i przedszkole.

Ks. T. Zabłudowski, którego charakterystyczną cechą była ogromna troskliwość, otoczył opieką wszystkich potrzebujących. Pod skrzydła wojska schroniło się tam bardzo wiele ludności cywilnej; zwłaszcza po pierwszej ewakuacji do Persji każdy ściągał bliżej wojska, aby ewentualnie mieć szanse wyjazdu z Rosji.

Przenocowaliśmy u gościnnego kapelana artyleryjskiego ośrodka wyszkoleniowego. Przekonaliśmy się, jak prymitywne zapasy w postaci czarnej rzodkwi i kilku jaj mogą się zamienić we wprawnych rękach p. Wandy w smaczny posiłek.

Rano po odprawieniu Mszy św., zasileni wojskowymi zapasami, po dobrze przyrządzonym śniadaniu — wyruszyliśmy na razie tylko do bliskiej stacji kolejowej, skąd nas pociąg zawiózł do Osz.

Wysiedliśmy w samo południe i musieliśmy odbyć piechotą drogę do placówki naszej ambasady, położonej w drugiej części miasta, a odległej od stacji o dobrych parę kilometrów. Trzeba się było wspinać pod górę stromą drogą. Z niepokojem patrzyłem na towarzyszy: czerwoni, spoceni, szli z coraz większym wysiłkiem.

Drogę wskazywał nam polski Żyd, zaopatrzony już w sowiecki paszport. Dopytywał się nas, czy mógłby się jakoś wkręcić do wojska. Odmówiono mu już przyjęcia, gdyż się poprzednio podał jako obywatel sowiecki. Twierdził, że obywatelstwo nosi się w sercu, a na papierze załatwia się tę sprawę tak jak trzeba. Nie wie, czy to prawda, ale słyszał, że tych, którzy przyjęli obywatelstwo sowieckie, miejscowe władze nie wypuszczają z Sowietów i nie pozwalają na wyjazd z wojskiem polskim. On jednak zawsze w sercu jest Polakiem i chciałby wrócić do Polski.

Zaszliśmy w końcu do polskiej placówki umieszczonej w dużym sowieckim hotelu. Delegatem był adwokat z Sambora (?) p. Aleksandrowicz, polski Ormianin, sekretarką Żydówka z Lublina, dentystka.

Moi towarzysze zrzucili plecaki i legli na ziemi tak zmęczeni, że się ruszyć nie mogli. Po tych kilku kilometrach marszu już się nabawili przykrości niewprawnych piechurów. Co będzie dalej? Czekała nas droga nie kilku kilometrów, mieliśmy w ciągu paru tygodni przebyć przestrzeń około 200 km.

Tymczasem zbierałem od delegata informacje gdzie są rozmieszczeni Polacy. Sekretarka orientowała się bardzo dobrze, umiała mi podać nazwiska mężów zaufania, wskazać, jak można by rozłożyć całą wyprawę. Wkrótce miałem już ułożony plan. Najpierw należało obejść skupiska Polaków na południe od Osz. To zabrałoby mi parę dni czasu, potem wrócić do Osz, a następnego dnia przejść jakieś kilkadziesiąt km na północny-zachód od Osz i tam pozostać dłużej. Następnie po powrocie do Osz, należało udać się do Andiżanu i obejść tamtejsze okolice.

Co robić z towarzyszami? Czy podołają trudom, które nas czekają? Widząc ich zmęczenie zdecydowałem, że ja po południu pójdę w okolice Osz, a oni przenocują i wrócą nazajutrz do Dżałabadu do 5-tej dywizji.

Poinformowałem ich o tym postanowieniu. Trochę się zawstydzili, ale przyjęli w milczeniu decyzję. Dobrze po południu, gdy się zbierałem do dalszej drogi, towarzysze przyszli do mnie z zapytaniem, czy my tu do Osz wrócimy po kilku dniach? Odpowiedziałem, że wrócimy. Na to oboje zaproponowali, że zostawią plecaki, wezmą jeden chlebak z żywnością, która wystarczy na te dni, będą go nosić na zmianę i spróbują, czy się przez te kilka dni wprawią i zahartują.

Zgodziłem się na to. Wziąłem na plecy torbę z lekarstwami i ruszyliśmy w drogę. Kompromis względnie próba powiodła się bardzo dobrze i już razem odbyliśmy całą wyprawę.

SPOTKANIA Z POLAKAMI

Boga brakło w całym tutejszym życiu. Nasi Go mieli i naprawdę mieli w Nim swe słońce ogrzewające nadzieją, że się to jakoś zmieni.

Mundury nasze stwierdzały kim jesteśmy, toteż co chwila zatrzymywali nas rodacy, informując się o tym, co się dzieje, czy jest jaka nadzieja wyjazdu z Rosji, gdzie jest wojsko, czy możemy pomóc chorym. Najwięcej potrzebowano mojej kapłańskiej pomocy. Dzięki pieniądzom zebranym przez ochotniczki z 5-tej dywizji mogliśmy udzielać także pomocy materialnej.

Zbiegali się do nas tłumnie Żydzi po wszelkiego rodzaju informacje. Zajmowali się głównie handlem. Twierdzili, że miejscowi handlarze przechodzą ich, Żydów, w sprycie handlowym.

W odległości kilkunastu kilometrów od dowództwa 5-tej dywizji, które stało w Dżałabadzie, w Białowieszczence stały pułki piechoty. Kapelanem w jednej z nich był ks. Antoni Mańturzyk. Poruczona miał również opiekę społeczną nad całą ludnością cywilną zamieszkałą w tej okolicy a także nad tymi, którzy przebywali w pobliskich kołchozach. Objechałem z ks. Mańturzykiem pewną ilość tych kołchozów. Ks. Mańturzyk skorzystał z objazdu, by rozwieźć artykuły żywnościowe, trochę ubrań i bielizny.

W samej Białowieszczence była ochronka dla dzieci, prowadzona przez siły polskie. Wybraliśmy się na objazd tego terenu około 18-go kwietnia wróciliśmy 23 kwietnia na św. Wojciecha rano, a o godzinie 7-mej była uroczysta Msza św. dla całego garnizonu.

Najpierw pojechaliśmy w wysokie góry do kołchozów prowadzonych przeważnie przez tamtejszych Mongołów. Ks. Mańturzyk uzyskał dla nas wóz wojskowy zaprzęgnięty w parę słabych koni.

Pierwszego dnia pojechaliśmy do kołchozu położonego w górach. Msze św. odprawiłem w chałupie. Zebrało się wielu pracujących tam Polaków. Następnie poszedłem odwiedzić chorych, bo i tu panował tyfus. Chorych było bardzo wielu. Ks. Mańturzyk rozdawał bardzo cenne dary zbiedzonym, niedostatecznie opłacanym niewolnikom strasznego systemu komunistycznego. Było dużo małych dzieci.

W powrotnej drodze mieliśmy wielką trudność, by zjechać w dolinę na przełaj, po terenie bez dróg. Przenocowaliśmy na wozie pod jakimś zajazdem i udaliśmy się do miejscowości, gdzie było bardzo wielu Polaków. O przyjeździe księdza z darami wiedzieli tamtejsi Polacy od okręgowego męża zaufania. Funkcje te pełniła nauczycielka z Wileńszczyzny. Ks. Mańturzyk miał wiele zajęcia, by porozdawać przywiezioną pomoc stosownie do sprawdzonych potrzeb i ilości członków rodziny.

Ja poszedłem do chorych z Przenajświętszym Sakramentem, a potem gdzieś u kogoś urządzono jak gdyby majowe nabożeństwo. Przybyli tam tłumnie nasi zdrowi wysiedleńcy, by się wyspowiadać, było też parę rosyjskich kobiet, które prosiły o spowiedź. Tym musiałem publicznie powiedzieć, że nie mogę zadośćuczynić ich prośbie, ale wyszedłem za nimi, a pozorując rozmowę, wyspowiadałem je i udzieliłem im Komunii św.

Pod wieczór wróciłem do obejścia, gdzie zatrzymaliśmy się, i czekałem, by ks. Mańturzyk zakończył pracę. Rozmawiałem z nauczycielką. W pewnej chwili od drogi weszła przez bramę starsza, czarno ubrana kobieta w czarnym szaliku na głowie i zapytała gdzie tu „świaszczennyk". Na moje pytanie, czego sobie życzy, prosiła, by pójść do niej niedaleko i ochrzcić jej wnuka. Nie kryła się z tą prośbą, mówiła głośno, tak że ludzie kręcący się po podwórzu bez trudności słyszeli naszą rozmowę.

Wydało mi się to dziwnym w tamtejszych stosunkach, więc odpowiedziałem, że bardzo chętnie pójdę do niej ochrzcić dziecko, o ile przyniesie mi kartkę od miejscowych władz NKWD, bo my możemy obsługiwać tylko swoich obywateli. Na to ona podniosła głos i zaczęła wymyślać na władze i stosunki sowieckie wołając, że „nam wszystko zabrali, ale duszy im nie chcemy dać". To już mnie całkiem przekonało, że nie powinienem ustąpić. Mimo jej wymyślań — nie poszedłem. Świadkiem tego zajścia była nauczycielka.

(W parę miesięcy potem ta sama nauczycielka opowiadała mi, że następnego dnia około południa przyjechało na podwórze 12 konnych NKWD-ystów, którzy zapytali nauczycielkę, kto tu był dnia poprzedniego. Nauczycielka odpowiedziała, że byli dwaj wojskowi księża i podała dokładnie, co który z nas tam robił.

Na to zapytali, czy nie mieliśmy kontaktów z obywatelami sowieckimi. Ona opowiedziała całe zdarzenie w związku z prośbą o chrzest. NKWD-yści wysłuchali dokładnie opowiadającej. Jeden z nich obrócił się na koniu i zawołał na kogoś. Z za bramy wysunęła się ta sama starsza niewiasta a naczelnik konnego patrolu powiedział do niej: „Taka mielocz, a ty nas tutaj trudzisz aż tylu". Zawrócili i odjechali.)

Późnym wieczorem pojechaliśmy do innej miejscowości. Nocleg przygotowano u starej Ukrainki spod Charkowa, wysiedlonej wraz z dwoma synami aż tu pod chińską granicę. Synowie byli w wojsku. Ona miała domek własny, kilka uli i krowę.

Wyszła naprzeciw nas przed wrota i powitała głębokim pokłonem. Powiedziała po ukraińsku przemowę, wyrażając radość, że się doczekała tego zaszczytu, że do jej domu przychodzą księża. Wprowadziła nas — można to określić tylko tak — uroczystym pochodem. Sama szła przodem. Na progu znowu stanęła, oddała głębokie pokłony, prosząc o błogosławieństwo. Gdy jej powiedziałem, że jesteśmy księżmi rzymskimi i polskimi odrzekła, że wie o tym i dlatego tak nas przyjmuje, bo my nie poddaliśmy się reżymowi.

O jakimś antagoniźmie wobec nas jako Polaków — na wzór małopolskiego — ona nic nie wiedziała. Przeciwnie, wspominała bardzo życzliwie Polaków, których znała za czasów carskich w swych stronach rodzinnych. Miała 72 lat.

W domu zastaliśmy stół nakryty, zastawiony po ukraińsku: ruskie pierogi, czarny chleb i plastry miodu. Nocleg dla mnie, jako dla starszego, przygotowała na piecu zasłanym pierzynami, był ten piec tak zbudowany jak na Ukrainie lub u nas na wschodzie.

W powrotnej drodze zwiedziliśmy ochronkę w Białowieszczence, była ona także pod opieką ks. Mańturzyka. Dzieci wyglądały bardzo dobrze. Widniała wszędzie troska i staranność, by je uchronić przed tym, co by im dano z wyłącznej opieki sowieckiej.

Zgodnie ze wskazówkami delegatury zaszliśmy do męża zaufania tego rejonu, pani Zarembiny, żony znanego działacza ludowego, który wyjechał, wezwany do Londynu, jako członek Rady Narodowej. Żona pozostała — o ile pamiętam — z dwoma chłopakami około lat 12. Była to nadzwyczaj sprawna delegatka umiejąca zorganizować pracę.

Zaraz wieczorem zawiadomiła Polaków o naszym przybyciu. Wiadomość, że jest ksiądz polski, rozeszła się w mgnieniu oka. Tłum zapełnił dużą kirgizką izbę i cały ogród przed domem. Odprawiłem zaraz nabożeństwo majowe, po czym ja zacząłem spowiadać, a subdiakon przygotowywał dzieci do pierwszej spowiedzi. Następnego dnia odbyła się I-sza Komunia św.

Zabrało nam to czas do późnej nocy. Pielęgniarka poszła odwiedzić chorych po domach. Było dużo chorych, nazajutrz odwiedzałem ich wszystkich z Przenajświętszym Sakramentem.



DZIECKO POLSKIE WYWIEZIONE DO SOWIETÓW — PO PRZYBYCIU DO PERSJI.

*) Fragment z pamiętnika opisującego pobyt autora w Sowietach po wypuszczeniu z więzienia.

Trudno opisać wrażenia jakich doznawałem patrząc na radość tych naszych biedaków, że się spotkali z księdzem i zbliżyli do świętych Tajemnic po tak długim czasie. Ochrzciłem kilkoro dzieci, po czym poszliśmy do innego skupiska.

Zaszliśmy do polskiej rodziny. Było tam parę wynędzniałych dzieci. Powiedzieli nam, że w odległości paru kilometrów jest jakaś fabryczka, w której pracują nasi, przeważnie dziewczęta, które wracają do domu tylko raz na tydzień, gdy otrzymają zarobki w postaci zboża, a czasem w postaci mąki.

Dopytaliśmy się zaraz o chorych, których można odwiedzić po drodze i ruszyliśmy na poszukiwanie fabryczki. Powstała nieopisana radość wśród ludzi, gdy ujrzeli mundur polski i księdza, który specjalnie do nich przyszedł. „A więc nie zapomnieli o nas tam w górze" — mówili do siebie.

Wszyscy Polacy porzucili robotę, by być nazajutrz na Mszy św., tym bardziej, że właśnie nazajutrz był dzień 3-go maja. Idąc razem ku domom gawędziliśmy wesoło i głośno; za nami jechał na osiołku młody chłopak tubylec i przysłuchiwał się rozmowie, której nie mógł zrozumieć. Nagle odezwał się łamanym rosyjskim: „Rosjanie niet Boha, a my i wy Polacy to znamy Boga". Chciał w ten sposób wyrazić wspólność istniejącą między nami, a tym samym podstawę do pewnej życzliwości, oraz zasadniczą różnicę między tubylcami i Polakami, a panującym systemem. Bo dla tamtejszych tubylców system sowiecki jest ściśle związany z narodem rosyjskim.

WIELKOŚĆ KOBIETY POLSKIEJ

Po paru dniach wróciliśmy do Osz i wziąwszy wszystkie rzeczy poszliśmy na południowy-zachód. Tym razem trzeba było przejść dziesiątki kilometrów. Czasem udawało się zatrzymać ciężarówkę i wsunąć kilkadziesiąt rubli w łapę szoferowi, by nas przewiózł kilkanaście kilometrów. Większość jednak drogi, dziesiątki kilometrów, robiliśmy piechotą. Czasem podwiózł nas ktoś wozem zaprzęgniętym w wielbłądy. Towarzysze znosili trudy coraz lepiej. Trening robił swoje.

W pewnej miejscowości spotkaliśmy na drodze dwie młode dziewczęta, które szły do roboty. Gdy nas spotkały, zawróciły i zaprowadziły nas do siebie. Nie chcieliśmy wejść w dom ich z próżnymi rękami, a zapasy już nam się skończyły. Po drodze można było dostać tylko czarną rzodkiew, jaja i kwaśne mleko bawole. Wtem widzimy przed nami bazar. Jest mąka, ziemniaki i suszone owoce.

Przy straganach spotykamy dobrych znajomych: polskich Żydków. Z rozmowy z nimi dowiedzieliśmy się, że dziś rano wykupili od miejscowych przekupni co tylko było i teraz koło południa oni handlują, ale wszystko sprzedają przynajmniej dwa razy drożej.

Przy uprawie bawełny (chłopok) nasi zarabiali bardzo mało, bo zaledwie 200—300 gramów ziarna dziennie, a wypłacano zarobki nieraz po upływie wielu tygodni.

W domach polskich były przeważnie kobiety. Nieraz matka umarła a młoda córka utrzymywała młodsze rodzeństwo. Często ojciec się tak załamał, że nie potrafił zająć się rodziną. Niewiast, które by się tak załamały, wpośród wiejskiej ludności i osadników nie spotkałem ani razu.

Roboty dla nas było dużo. Spowiadałem wieczorami, rano odprawiałem Mszę św. i zaraz szliśmy dalej, by jeszcze w ciągu dnia spowiadać do wieczora, gdy ludzie wrócili z roboty, rano odprawić Mszę św. i iść dalej.

Między Mszami, których czasem i trzy dziennie odprawiałem w różnych porach, spożywałem pokarm, bo nieraz musiałem przejść kilkanaście kilometrów drogi. Naczczo byłoby to już niemożliwe, zwłaszcza codziennie, przez dłuższy czas.

Patrzyłem na nasze polskie niewiasty, na ich ducha, siłę i moc, a przy tym na ich niezłomną wiarę. Podziw i cześć, którą miałem zawsze dla kobiety polskiej, wzrosły we mnie do ogromnej potęgi, a wraz z podziwem silne przekonanie, że wróg nie zwycięży Polski póki mamy niewiasty takiej miary i tak głęboko chrześcijańskie.

Trzeba przyznać, że wśród naszego ludu takie kobiety tworzyły trzon. Wśród inteligencji zaś, szczególnie wśród półinteligencji, to może kobiety i w połowie sięgały tego wzoru. Wśród wyższych warstw społecznych nieraz trzeba by się było z trudem doszukiwać takich kobiet, jak wśród ludu.

Ściskało mi się serce, gdy patrząc na ten wzór wielkości niewiasty polskiej myślałem o tym, co zrobia mężczyźni z niewiasty, która jest pod ich opieką w wojsku.

Towarzyszka naszej wędrówki należała w zupełności do tego typu niewiast, z którymi spotykaliśmy się tutaj wszędzie. W przeróżnych okolicznościach, na jakie musieliśmy natrafiać w takiej włóczędze, dała dowody najsubtelniejszej delikatności niewieściej i taktu, a lat miała zaledwie 21. Wyniosła te zalety z domu rodzinnego. Ojciec jej był posterunkowym we wchodniej Małopolsce. Wartości tych nie utraciła podczas pobytu w więzieniu, w wojsku, ani w pracy szpitalnej.

Pewnego dnia wezwano mnie, bym poszedł do umierającego. Gdy szedłem przez osiedle, nadbiegła starsza Żydówka, wołając mnie jako księdza do konającej niewiasty. Biegł przy niej 10-letni chłopczyk. Był wychudzony i płacząc wołał, że mama umiera. Zawróciłem z drogi. Gdyśmy doszli do nory, gdzie mieszkała chora, zastaliśmy już stygnące zwłoki. Chłopiec z płaczem rzucił się do zwłok, wołając, że pod mamą jest zboże i pieniądze. Nic nie znaleźliśmy. Już ktoś zdążył zabrać dla siebie.

Od znajomych nieboszczki dowiedzieliśmy się, że bała się ona śmierci głodowej dla siebie i synka. Robiła zapasy, z których ani sobie ani synowi nic nigdy nie dawała. Umarła z głodu i wycieńczenia podobnie jak jej mąż, niegdyś dzierżawca czy zarządzający jakimś majątkiem na Wołyniu.

Chłopiec poszedł z nami. Nie chciał nas opuścić, a my nie mogliśmy go brać w drogę ze sobą. Został przy tej zacnej rodzinie, gdzie młoda dziewczyna przy niedołężnym ojcu zastępowała matkę dużej gromadzie dziatwy, złożonej z jej rodzeństwa i sierot po sąsiadach. Ona była im matką i gospodynią w domu. Chłopca oddano następnie do ochronki w Karasie, założonej przez ks. Zabłudowskiego, ale biedak nabawił się tyfusu i umarł.

NA PODWÓRZU KIRGIZKIEJ CHATY

W pewnej kirgizkiej miejscowości była duża grupa naszych, którzy — jak wszędzie — pracowali przeważnie przy uprawie bawełny. Tu narzekali szczególnie na bardzo wrogi stosunek miejscowej ludności. Dzieci tubylcze dokuczały naszym dzieciom. Nigdzie nie spotkałem tak wrogiego stosunku do naszych ze strony tubylców. Niechęć sięgała tak daleko, że nawet nie chcieli sprzedawać im żywności.

Miałem tam rano Mszę św. na podwórzu pewnego domostwa otoczonego — jak wszystkie w tych stronach — wysokim murem glinianym. Nic dziwnego, że mur ten owego ranka obsiedli gęsto miejscowi ludzie. Nie tylko od czasu rewolucji, ale od najdawniejszych czasów po raz pierwszy mieli wśród siebie kapłana chrześcijańskiego, nie mówiąc już o tym, że był to ksiądz katolicki obrządku łacińskiego.

Podczas posiłku widzimy zbliżającą się ku nam procesję bab zawiniętych po oczy charakterystycznymi dla tamtejszych okolic zawojami. Ludność zachowała tam jeszcze miejscowe stroje, zwłaszcza kobiety pozostały wierne obyczajom. Niosły małe zawiniątka i zbliżały się ku nam. Podchodziły z bardzo głębokim pokłonem, stawiały przede mną zawiniątka i oddalały się z głębokim pokłonem, mówiąc coś.

Dzieci nasze już się nauczyły od miejscowych dzieci języka kirgizkiego. One to przetłumaczyły nam słowa tych niewiast, które przyniosły dla nas trochę prowiantu i oświadczyły, że już od dziś ich dzieci nie będą naszym dokuczać i że w ogólności Polacy będą od nich doznawać tylko opieki, żadnych przykrości nie będą wyrządzać, bo „widzą, że Polacy Pana Boga chwalą i uznają".

Oto dowód naturalnej potęgi instynktu religijnego i mocy wiary, zachowanej mimo całego systemu bezbożnictwa.

Znowu przeszliśmy przez Osz, by się udać w inną stronę i po długiej pieszej wędrówce tegoż dnia zaszliśmy na miejsce, gdzie było wielu Polaków. Prawie wszyscy pochodzili spod Borszczowa. Kupili tam ziemię, przenosząc się gromadnie z okolicy Kielc do Małopolski wschodniej, a teraz znowu razem wysiedlili ich bolszewicy do kraju kirgizkiego.

Dziatwy wiele sposobiło się do I-szej Komunii św. Miał z tym robotę ks. subdiakon, ja słuchałem spowiedzi, a pielęgniarka nasza, mimo, że tego dnia przeszła piechotą około 35 km., musiała odwiedzać chorych.

Wtem podeszła do mnie dziewczynka lat 13 z prośbą, by całej grupie dzieci pomóc w przygotowaniu do spowiedzi św. Bardzo wielu dorosłych czekało na ten sakrament, więc nie mogłem zadośćuczynić jej prośbie, ale rezolutna dziewczynka oświadczyła: — Tak, ksiądz musi starszych spowiadać, a ja najstarsza z dzieci przygotuję resztę do spowiedzi, ale muszę pobiec do domu po książeczkę.

Dzieci zasiadły już o zmroku w rowie przydrożnym i przygotowywały się pod kierownictwem tej młodocianej nauczycielki, wykształconej w najlepszym seminarium nauczycielskim tj. w rodzinnym gronie, wśród licznego rodzeństwa, pod bacznym kierownictwem matki i ojca i całego jednomyślnego grona sąsiadów z jednej polskiej gminy.

Po skończeniu nauki dziewczynka zwróciła się do mnie: — Niech ksiądz teraz zobaczy, czy jesteśmy dobrze przygotowani i proszę nas wyspowiadać.

Późno w noc skończyła się spowiedź i starszych i dzieci i tych po raz pierwszy przystępujących do sakramentu Pokuty. Nazajutrz podczas Mszy św. odbyła się I-sza Komunia św., po czym poszliśmy zanieść chorym Pana Jezusa. Dla niektórych był to Wiatyk, dla większości źródło niezłomnej nadziei, że wytrwają i wrócą do Polski względnie, że wyjdą z tej „Nieludzkiej Ziemi".

Następnego dnia wyjechaliśmy z okolic Osz. Przed wyjazdem widzieliśmy, siedząc w ogromnym parku miejskim i spożywając tak zw. „kolację", która składała się z minimalnych porcji przypadkowych zapasów, jak z różnych stron, odpędzani przez straż, wkradali się z ulicy wynędzniali i głodni dorośli ludzie, byleby tylko móc ochłapami zagłuszyć rwący wnętrzności głód.

OD OSIEDLA DO OSIEDLA

Pod wieczór dotarliśmy do Andiżanu, gdzie odpoczęliśmy dwa dni.

Tamtejsza delegatura ambasady była nieźle wyposażona w zapasy żywności, co stwierdziłem naocznie, oglądając magazyny. Dowiedziałem się, że w szpitalu jest dużo chorych Polaków, którym delegatura pomaga w zorganizowany sposób, dostarczając do szpitali prowiantów każdemu choremu, a czyni to regularnie w określone dnie.

Z księdzem subdiakonem poszliśmy do tych szpitali. Był tam na miejscu polski lekarz. Uderzył nas w szpitalu przeraźliwy stan opuszczenia naszych chorych. Pamiętam do dziś dwóch młodych chłopców konających z wyczerpania, którzy nigdy ze strony polskiej nie mieli najmniejszej pomocy. Zwróciłem się z zapytaniem do naszego lekarza, który się gdzieś znalazł: — Jakto? a gdzież pomoc delegatury? Przecież wczoraj delegat wydał pewnej młodej osobie prowiant, który ona ma rozdawać w szpitalach?

Lekarz uśmiechnął się gorzko, ale pod naciskiem powiedział, że ta osoba, to cioteczna siostra delegata, że ma dużą rodzinę i że on widzi tutaj bardzo rzadko i bardzo mało tej pomocy.

Zrobiłem raport i odpowiednie sprawozdanie wysłałem do rejonowej delegatury do Samarkandy, czy też może do Taszkentu, a nawet dziś nie pamiętam, czy nie wprost do Ambasady. Wiem tylko, że otrzymałem odpowiedź, że mam złe informacje o sprawnym pracowniku. Potem zmienili zdanie, ale ilu ludzi umarło?

Ten pan, pokazując nam dnia poprzedniego magazyny, poczęstował towarzyszkę naszą i nas czekoladą. Od razu zabroniłem brać tę czekoladę bez rachunku jako przeznaczoną wyłącznie dla potrzebujących. Towarzysze uważali to za przesadę z mojej strony, ale nie wzięli mimo nalegań i kpinek pana delegata pod moim adresem. Całe szczęście — bo z takiego głupstewka miałby ten pan możność ukuć obronę dla siebie, oskarżając nas.

P. Wanda C. musiała nas opuścić w Andiżan. Dostała zapalenia okostnej z zęba i wróciła do oddziału. Myśmy ruszyli w dalszą drogę.

W pewnej miejscowości znowu spotkaliśmy „Mazurów", którzy po pierwszej wojnie zakupili na parcelacji ziemię w Radziechowszczyźnie pod Lwowem. Tu zarobek nawet dwóch pracujących nie wystarczał na utrzymanie liczniejszej rodziny. W jednym domu mąż leżał chory, a 18-letni chłopak z matką pracowali na utrzymanie rodzeństwa. Maleństwa i młodsze dzieci były chude i nędzne tak, że dwoje najmłodszych nie mogło chodzić z wycieńczenia.

Jak wszędzie tak i tu ludzie zeszli się, widząc wojskowego księdza i rozmowy szły przed domem. Wtem podeszła dosyć porządnie ubrana Żydówka z motyką w ręku, bo z innymi pracowała na polu. Widząc dzieci w takiej nędzy powiedziała mi, że Polacy z wielką niechęcią patrzą na Żydów, ale niezawsze mają rację.

Twierdziła, że Żydom — jej i mężowi — powodzi się lepiej tylko dlatego, że są zaradniejsi. Mąż jej pracuje w zarządzie całego kołchozu prowadząc rachunki, bo umie to robić. Ona pracuje w polu raczej dlatego, by nie robić złej krwi, podczas gdy wszyscy nasi nie umieją sobie poradzić. Było w tym może trochę prawdy.

Zanotuję tu charakterystyczne zdarzenie, wskazujące na wpływ polskiej kobiety i jej rolę w domu. Mąż naszej gospodyni leżał ciężko chory. Chciałem go wyspowiadać, ale on absolutnie odmawiał spowiedzi. Wieczorem ksiądz subdiakon przyniósł z pomocą wyżej wspomnianej Żydówki dosyć dużo mleka bawolego, my mieliśmy jeszcze trochę mąki i niewiasty zrobiły bardzo dużo zacierek na mleku. Było to czymś wyjątkowym dla całej tej rodziny, która się żywiła lebiodą gotowaną na wodzie.

Położyliśmy się spać w rowie, bo w chałupie nie było miejsca. Rano słyszymy głosy dwóch kobiet wydziwiających, jak to „ojcowie ducho-

MIEJSCE W KOŚCIELE

I DZISIEJSZE ZADANIA RUCHÓW KATOLIKÓW ŚWIECKICH

OŚWIADCZENIE OJCA ŚW. W PRZEMÓWIENIU DO KONGRESU APOSTOLSTWA ŚWIECKICH (14.X.1951) *)

Jakaż pociecha i jaka radość przepełniają Nasze serce na widok waszego imponującego zgromadzenia, w którym widzimy zebranych przed naszymi oczyma, Was, naszych Czcigodnych Braci w Episkopacie, i Was także, Drodzy Synowie i Drogie Córki, przybyłych ze wszystkich kontynentów i ze wszystkich stron świata do centrum Kościoła, by odbyć tu ów światowy Kongres Apostolstwa Świeckich. Studiowaliście jego naturę i cel, rozważaliście stan obecny i zastanawialiście się nad ważnymi obowiązkami, jakie temu apostolstwu przypadną w przewidywanej przyszłości. Były to dla Was dni gorącej modlitwy, poważnego rachunku sumienia, wymiany poglądów i doświadczeń. Na zakończenie przybyliście tu, aby dać znowu, wyraz waszej wierze, waszemu oddaniu, waszej wierności dla Namiestnika Chrystusowego i prosić go o wspomożenie błogosławieństwem waszych postanowień i waszej działalności.

Bardzo często w ciągu Naszego pontyfikatu mówiliśmy o apostolstwie świeckich, w różnych okolicznościach i pod różnymi kątami widzenia, w Naszych posłaniach do wszystkich wiernych, zwracając się do Akcji Katolickiej, do Sodalicyj Mariańskich, do robotników i robotnic, do nauczycieli i nauczycielek, do lekarzy i prawników, a także do środowisk wyłącznie kobiecych, by podkreślić ich obecne obowiązki nawet w życiu publicznym, i również do innych. Była to dla Nas zawsze sposobność do poruszania, ubocznie lub wprost, spraw, które znalazły się w tym tygodniu na porządku dziennym zjazdu.

APOSTOLSTWO ŚWIECKICH W ŚWIETLE DZIEJÓW KOŚCIOŁA

Tym razem w obecności tak licznej elity księży i wiernych, wszystkich jak najgłębiej świadomych swej odpowiedzialności w tym apostolstwie lub w stosunku do niego, chcielibyśmy w bardzo krótkich słowach „ustalić" jego miejsce i rolę w dniu dzisiejszym w świetle minionych dziejów Kościoła. Apostolstwo to nigdy w nich nie było nieobecne; ciekawym i pouczającym byłoby śledzić jego ewolucję w czasach minionych.

Lubi się często mówić, że podczas ostatnich czterech stuleci Kościół był wyłącznie „klerykalny", i że było to reakcją na kryzys, który w wieku szesnastym zmierzał po prostu do zniesienia hierarhii, i sugeruje się, że najwyższy czas, by obecnie rozszerzył on swoje kadry.

Twierdzenie takie jest dalekie od rzeczywistości, gdyż właśnie od czasu świętego Soboru Trydenckiego świeccy stanęli w szeregach i rozpoczęli działalność apostolską. Łatwo tę rzesz sprawdzić; wystarczy przypomnieć sobie dwa fakty historyczne szczególnie wyraziste wśród wielu innych: czynne wykonywanie apostolstwa świeckich we wszystkich dziedzinach życia publicznego przez Sodalicje Mariańskie mężczyzn i stopniowe wprowadzenie kobiet do nowoczesnego apostolstwa. W tym zaś miejscu wypada przypomnieć dwie wielkie postaci dziejów katolickich: jedną z nich jest Maria Ward, owa nieporównana niewiasta, którą Anglia Katolicka w najbardziej ponurych i krwawych swoich godzinach dała Kościołowi; drugą — święty Wincenty à Paulo, kroczący niewątpliwie w pierwszym szeregu założycieli i szerzycieli katolickich dzieł dobroczynności.

Nie można także przeoczyć lub nie uznać dobroczynnego wpływu, jaki miał ścisły związek, który aż do Rewolucji Francuskiej łączył we wzajemnych stosunkach w świecie katolickim dwie władze ustanowione przez Boga: Kościół i Państwo. Zażyłość ich stosunków na wspólnym terenie życia publicznego tworzyła naogół jakby atmosferę ducha chrześcijańskiego, która uwalniała w dużej części od tej subtelnej pracy, do której muszą wprzęgać się dzisiaj księża i świeccy, by zapewnić zachowanie i praktyczne wartości wiary.

W końcu wieku osiemnastego nowy czynnik wchodzi w grę. Z jednej strony utworzenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, które rozpoczęły niezwykle szybki rozwój i w których wkrótce Kościół miał nabrać żywotności i znacznie wzrosnąć na sile; z drugiej zaś Rewolucja Francuska ze swymi następstwami zarówno w Europie jak i za morzami — doprowadziły do rozdzielenia Kościoła od Państwa. Nie dokonując się wszędzie w tym samym czasie, ani w tym samym stopniu rozdział ten w następstwie logicznym sprawił wszędzie, iż pozostawiono prowadzenie swej działalności, pełnienie swej misji, obronę swych praw — samemu Kościołowi. To było źródłem tego co nazywa się ruchami katolickimi, które, silne swymi zwartymi szeregami swoją szczerą wiernością, pod przewodem duchownych i świeckich zaprowadziły wielkie masy wierzących do walki i do zwycięstwa. Czyż nie jest to już początek apostolstwa i wprowadzenie doń świeckich?

Przy tej uroczystej okazji jest Naszym bardzo miłym obowiązkiem skierować słowa uznania do tych wszystkich, księży i wiernych, mężczyzn i kobiet, którzy zaciągnęli się do tych ruchów dla sprawy Boga i Kościoła i których imiona zasługują na wspominanie ich wszędzie ze czcią.

Trudzili się oni, walczyli, łącząc w miarę swych możliwości poczynania zbyt rozproszone: czasy nie były bowiem dojrzałe do takiego kongresu jak ten, który właśnie odbyliście.

*) Streszczone w poprzednim numerze doniosłe oświadczenie Ojca św. podajemy obecnie w tekście dosłownym w tłumaczeniu z oryginału francuskiego w „Osservatore Romano".

A jakże one dojrzewały w ciągu tego półwiecza? Wiecie to sami: w rytmie coraz bardziej przyśpieszonym rozłam, który od dawna podzielił duchy i serca na dwie części — za i przeciw Bogu, Kościołowi, religii — poszerzył się i pogłębił; zakreślił on, może nie wszędzie z jednakową wyrazistością, granicę w łonie samym narodów i rodzin.

Jest jeszcze — to prawda — zdezorientowany tłum letnich, niezdecydowanych, wahających się, dla których religia jest może jeszcze czymś, ale czymś bardzo nieokreślonym, bez żadnego znaczenia dla ich życia. I ten tłum bezkształtny może, jak uczy nas doświadczenie, znaleźć się którego dnia niespodzianie wobec konieczności powzięcia decyzji.

Kościół zaś wobec wszystkich ma potrójną misję do spełnienia:

podnieść gorliwie wierzących na poziom wymagań czasu obecnego;

wprowadzić tych, którzy wahają się u progu, w ciepłą i zbawienną poufność ogniska domowego;

przyprowadzić z powrotem tych, którzy się oddalili od religii, a których nie może ona przecie pozostawić ich nędznemu losowi.

Piękne to zadanie dla Kościoła, ale znacznie utrudnione przez to, że chociaż jako całość bardzo się powiększył, to jednak szeregi jego duchowieństwa nie wzrosły proporcjonalnie. Kler zatem musi zachowywać swe siły przede wszystkim dla pełnienia swej służby ściśle kapłańskiej, bo w niej nikt nie może go zastąpić.

Pomoc udzielana przez świeckich apostolstwu jest więc koniecznie niezbędną. Jak jest cenną, tego dziś dowodzą doświadczenia braterstwa broni, niewoli czy innych wojennych przeżyć. Doświadczenia te stwierdzają zwłaszcza w dziedzinie religijnej, głęboki i skuteczny, wzajemny wpływ towarzyszy zawodu, stanu i życia. Te czynniki, i wiele innych, zależnych od okoliczności miejsca i osób, szerzej otworzyły wrota współpracy świeckich w apostolstwie Kościoła.

Obfitość rad i doświadczeń wymienionych w czasie waszego kongresu, a także to, co mówiliśmy przy wspomnianych okazjach, zwalnia Nas od wchodzenia w pełniejsze szczegóły współczesnego apostolstwa świeckich. Zadowolimy się więc przedstawieniem wam kilku rozważań, które mogą rzucić nieco światła na to czy owo z rysujących się zagadnień.

WARTOŚĆ SPEŁNIANYCH OBOWIĄZKÓW STANU

1. Wszyscy wierni bez wyjątku są członkami ciała mistycznego Jezusa Chrystusa. Wynika stąd, że prawo natury, a bardziej nagląco jeszcze, prawo Chrystusa nakłada na nich obowiązek dawania dobrego przykładu życia rzeczywiście chrześcijańskiego: „Christi bonus odor sumus Deo in iis qui salvi fiunt, et in iis qui pereunt": „Jesteśmy Bogu miłą wonią Chrystusa wśród tych którzy dostępują zbawienia i tych, którzy giną" (II Kor. 2, 15). Wszyscy także są zobowiązani, a dziś więcej niż kiedykolwiek, do myślenia w modlitwie i w ofierze nietylko o swoich potrzebach osobistych ale także o wielkich intencjach Królestwa Bożego w świecie w duchu „Pater noster", którego Jezus Chrystus sam nauczał.

Czy można twierdzić, że wszyscy są jednakowo powołani do apostostwa w ścisłym znaczeniu tego słowa? Bóg nie dał wszystkim do tego ani możliwości ani zdolności. Nie można wymagać, by podejmowała się zadań tego apostolstwa małżonka, matka wychowująca po chrześcijańsku swoje dzieci, która poza tym musi pracować w domu, by pomóc mężowi w wyżywieniu rodziny. Powołanie apostolskie nie odnosi się więc do wszystkich.

Oczywiście trudno jest wyznaczyć granicę od której zaczyna się apostolstwo świeckich w ścisłym znaczeniu. Czy zaliczyć doń na przykład: wychowanie czy to przez matkę rodziny czy przez nauczycieli lub nauczycielki święcie gorliwych w wykonaniu swego zawodu pedagogicznego; albo postępowanie wziętego i szczerze katolickiego lekarza, którego sumienie nie waha się nigdy, kiedy prawo naturalne i Boże wchodzi w grę, który walczy ze wszystkich sił o godność chrześcijańską małżonków, o święte prawa ich potomstwa; lub wreszcie działalność katolickiego męża stanu na rzecz szerokiej polityki poprawienia losu upośledzonych?

Wielu skłaniałoby się do odpowiedzi przeczącej, nie widząc w tym wszystkim nic ponad zwykłe, godne pochwały lecz obowiązujące spełnienie powinności stanu.

Znamy jednak potężną i niezastąpioną wartość dla dobra dusz tego zwykłego spełnienia obowiązków stanu przez miliony i miliony ludzi wiernych, sumiennych i wzorowych.

APOSTOLSTWO ŚWIECKICH W SENSIE ŚCISŁYM

Apostolstwo świeckich w sensie ścisłym jest niewątpliwie w dużej części zorganizowane w Akcji Katolickiej i w innych instytucjach działalności apostolskiej, uznanych przez Kościół; poza nimi jednak są apostołowie świeccy, mężczyźni i kobiety, którzy dbając jedynie o pozyskanie dusz dla prawdy i dla łaski, mają na uwadze pełnienie dobra, szukają środków do działania i działają. Myślimy również o tylu znakomitych świeckich, którzy tam, gdzie Kościół jest prześladowany jak był w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, zastępując w miarę swych możliwości uwięzionych księży, z narażeniem nieraz życia krzewią wokół siebie naukę chrześcijańską, pouczają o życiu religijnym i o właściwym sposobie myślenia katolickiego, przywodzą do sakramentów i do praktyk nabożnych, szczególnie do nabożeństwa eucharystycznego. Widzicie przy pracy wszystkich tych świeckich; nie niepokójcie się pytaniem do jakiej organizacji oni należą; podziwiajcie raczej i uznajcie z serca dobro, które czynią.

Daleka jest od Nas myśl obniżania wartości organizacji lub niedoceniania jej jako czynnika w apostolstwie; przeciwnie cenimy ją wysoko, zwłaszcza w świecie, gdzie wrogowie Kościoła nacierają nań zwartą masą swych organizacji. Nie powinna ona jednak prowadzić do małodusznego ekskluzywizmu, do tego, co Apostoł nazywał „explorare libertatem", „szpiegowaniem wolności". (Gal. 2. 4). W ramach Waszej organizacji pozostawcie każdemu dużo swobody dla rozwoju jego wartości i darów osobistych we wszystkim, co może służyć „ku dobremu i zbudowaniu": „in bonum et aedificationem" (Rom. 15, 2) i radujcie się gdy poza własnymi szeregami widzicie innych „kierowanych duchem Bożym" (Gal. 5 18) jak zdobywają swych braci dla Chrystusa.

DUCHOWIEŃSTWO I ŚWIECCY W APOSTOLSTWIE

2. Rozumie się samo przez się, że apostolstwo świeckich jest poddane hierarchii duchownej; ta zaś jest z ustanowienia Bożego; nie może więc ono być od niej niezależne. Sądzić inaczej znaczyło by podważać u podstawy mur, na którym sam Chrystus zbudował Kościół swój.

Wobec tego założenia byłoby również błędem mniemać, że w ramach diecezji tradycyjna struktura Kościoła czy też jej forma obecna stawiają w zasadzie apostolstwo świeckich w linii równoległej do apostolstwa hierarchicznego, i to w ten sposób, że nawet biskup nie może podporządkować proboszczowi parafialnego apostolstwa świeckich. Może on; może także ustanowić regułę, że dzieła apostostwa świeckich przeznaczone dla samej parafii są pod władzą proboszcza. Biskup ustanowił go pasterzem całej parafii, odpowiedzialnym za zbawienie wszystkich swych owieczek.

Że mogą być skądinąd dzieła apostolstwa świeckich pozaparafialne a nawet pozadiecezjalne — powiedzielibyśmy raczej ponadparafialne i ponaddiecezjalne — gdy tego wspólne dobro Kościoła wymaga, jest również prawdą i nie trzeba tego powtarzać.

W przemówieniu Naszym z 3 maja rb. do Włoskiej Akcji Katolickiej powiedzieliśmy, że zależność apostolstwa świeckich od hierarchi może być stopniowana. Zależność ta jest najściślejsza dla Akcji Katolickiej: reprezentuje ona w rzeczywistości oficjalne apostolstwo świeckich; jest narzędziem w ręku hierarchii, ma być niejako przedłużeniem jej ramienia, stąd też jest z natury poddana kierownictwu zwierzchnika kościelnego. Inne dzieła apostolstwa świeckich, zorganizowane lub nie, mogą mieć więcej swobodnej inicjatywy w zakresie, jakiego wymagają ich cele. Rozumie się samo przez się, że w każdym wypadku inicjatywa świeckich w wykonywaniu apostolstwa powinna trzymać się w granicach ortodoksji i nie przeciwstawiać się uprawnionym zaleceniom właściwych władz kościelnych.

Gdy porównamy apostoła świeckiego, a ściślej wiernego z Akcji Katolickiej, do narzędzia w ręku hierarchii, wedle wyrażenia, które stało się potoczne, to używamy tego porównania w tym rozumieniu, że zwierzchnicy kościelni posługują się nimi w sposób, w jaki Stwórca i Pan posługuje się stworzeniami rozumnymi jako narzędziami lub jako przyczynami wtórnymi, to jest „z pełną względów łagodnością" (Mądr. 12, 18). Niech więc posługują się nim ze świadomością swej wielkiej odpowiedzialności, zachęcając go podsuwając mu inicjatywy i przyjmując szczerym sercem wszelkie przez niego wysuwane postulaty, zatwierdzając je w miarę słuszności a z szerokością poglądów. W bitwach decydujących najszczęśliwsze inicjatywy pochodzą nieraz z frontu. W dziejach Kościoła mamy nato dość liczne przykłady.

W pracy apostolskiej jest w ogóle pożądane, by jak najszczersze porozumienie panowało między księżmi i świeckimi. Apostolstwo jednych nie jest żadną konkurencją dla apostolswa drugich. Mówiąc szczerze, określenie „emancypacja świeckich", które można słyszeć tu i ówdzie, wcale Nam się nie podoba. Brzmi ono raczej niemile; jest przytem historycznie nieścisłe. Czyż byli dziećmi, nieletnimi, czy musieli osiągnąć usamowolnienie ci wielcy „condottieri", o których wspominaliśmy mówiąc o ruchu katolickim ostatnich stu pięćdziesięciu lat? Zresztą w królestwie łaski wszyscy uważani są za dojrzałych. I to właśnie jest ważne.

Wezwanie pomocy świeckich nie wynika z załamań się lub niepowodzeń kleru w obliczu obecnych zadań. Jeżeli były załamania się indywidualne, to jest to nieuniknionym skutkiem nędzy natury ludzkiej, a spotykało się to tu i ówdzie. Lecz biorąc rzecz ogólnie, ksiądz ma równie dobre oko jak człowiek świecki, aby rozeznać znaki czasu, a i ucho ma niegorsze, aby zbadać serca ludzkie. Świecki powołany jest do apostolatu jako współpracownik kapłana, często współpracownik bardzo cenny a nawet konieczny wobec braku duchowieństwa, jak mówiliśmy, zbyt nielicznego, by mogło samo spełnić swoją misję.

PLONY APOSTOLSTWA ŚWIECKICH

3. Nie możemy zakończyć, Drodzy Synowie i Drogie Córki, nie przypomniawszy tej pracy, jaką wykonało i wykonywa apostolstwo świeckich w całym świecie we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego, indywidualnego i społecznego, pracy, której wyniki i doświadczenia zestawiliście i omówili w tych dniach:

apostolstwo w służbie małżeństwa chrześcijańskiego, rodziny, dziecka wychowania i szkoły;

apostolstwo wśród młodzieży męskiej i żeńskiej;

apostolstwo miłosierdzia i pomocy o niezliczonych dziś aspektach;

apostolstwo dla praktycznej poprawy niesprawiedliwych stosunków społecznych i dla ulżenia nędzy;

apostolstwo na misjach oraz na rzecz emigrantów i imigrantów;

apostolstwo w dziedzinie życia intelektualnego i kulturalnego;

apostolstwo gier i sportów;

a wreszcie, a rzecz to wcale nie najmniejsza, apostolstwo opinii publicznej.

Zalecamy i pochwalamy wasze wysiłki i pracę a przede wszystkim siłę dobrej woli i gorliwości apostolskiej, jaką nosicie w sobie i jaką spontanicznie okazaliście w czasie samego kongresu, a która, jak mocne źródła ożywczych wód, użyźniała Wasze obrady.

Gratulujemy wam Waszego oporu przeciw tej złośliwej tendencji, panującej nawet między katolikami, która pragnęłaby ograniczyć Kościół do spraw zwanych „czysto religijnymi": nie oznacza to, by zadawano sobie trud ścisłego określenia co się pod tym rozumie: byle tylko Kościół nie wychodził poza świątynię i zakrystię i bezczynnie pozostawił nazewnątrz ludzkość zmagającą się ze swymi troskami i potrzebami. Nieczego więcej się od niego nie wymaga.

Prawda to niestety: w niektórych krajach Kościół jest zmuszony do zamknięcia się w ten sposób: nawet jednak i w tym wypadku, w czterech murach świątyni, musi się starać czynić wszystko, co w tym niewielkim pozostawionym mu zakresie zdziałać może. Nie wycofuje się tam z własnej inicjatywy i dobrowolnie.

AKCJA KATOLICKA I AKCJA POLITYCZNA

Życie ludzkie, prywatne i społeczne koniecznie i stale styka się z prawem i duchem Chrystusa; wynika stąd siłą rzeczy wzajemne przenikanie się apostolstwa religijnego i działalności politycznej. Polityka, w wyższym tego słowa znaczeniu, nie znaczy nic innego jak współpracę dla dobra zbiorowego — „polis". Dobro zbiorowości rozciąga się wszakże bardzo szeroko i stąd też właśnie na terenie politycznym rozstrzygają się i kształtują prawa największej doniosłości, jak np. prawa dotyczące małżeństwa, rodziny, dziecka, szkoły, żeby ograniczyć się tylko do tych przykładów. Czyż nie są to sprawy, które obchodzą w pierwszym rzędzie religię? Czy mogą pozostawić one apostoła obojętnym, nieczułym? W wyżej cytowanym przemówieniu (z 3 maja 1951) wyznaczyliśmy granicę między Akcją Katolicką a akcją polityczną. Akcja Katolicka nie może wchodzić w szranki polityki partyjnej. Lecz, jak powiedzieliśmy także do uczestników „Konferencji Olivaint" — „równie jak chwalebne jest trzymanie się ponad zaciętymi sporami, które zatruwają ścieranie się stronnictw... w tej samej mierze naganne byłoby pozostawianie wolnego pola ludziom niegodnym czy nieudolnym, by kierowali sprawami państwa, (Przemówienie z 28 marca 1948). Do jakiego punktu apostoł może i powinien trzymać się z dala od tej granicy? Trudno w tej sprawie sformułować regułę jednakową dla wszystkich. Warunki i umysłowość nie są wszędzie te same.

Z przyjemnością zatwierdzamy Wasze postanowienia*); wyrażają one Waszą mocną dobrą wolę podania sobie rąk wzajemnie ponad granicami państwowymi, by dojść do pełnej i skutecznej współpracy w powszechnej miłości. Jeśli jest w świecie potęga zdolna do obalenia małodusznych barier do szczerej zgody i braterskiego zjednoczenia narodów, to jest nią tylko Kościół katolicki. Możecie z dumą radować się tym. Waszym zadaniem jest ze wszech sił przyczyniać się do tego.

„UMACNIAJCIE SIĘ NAWZAJEM W JEDNOMYŚLNOŚCI I W POKOJU"

Czyż moglibyśmy dać Waszemu kongresowi lepsze zakończenie jak powtarzając cudowne słowa Apostoła narodów. „Zresztą weselcie się, bracia, bądźcie doskonałymi i umacniajcie się nawzajem w jednomyślności i w pokoju, a Bóg pokoju i miłości będzie z wami" (II Kor.13, 11). Gdy zaś Apostoł kończy: „Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa i miłość i uczestnictwo Ducha Świętego niech będą z wami wszystkimi" (tamże w. 13), wyraża on to wszystko, co Wasza działalność stara się przynieść ludziom. Niech ten dar wypełni także Wasze własne dusze i serca.

Niech to będzie Naszym końcowym życzeniem! Oby Bóg raczył go wysłuchać i napełnić Was i cały świat katolicki swymi najlepszymi łaskami, na zadatek których udzielamy wam z wezbranego serca Naszego Apostolskiego Błogosławieństwa.

*) Wnioski I Światowego Kongresu Akcji Katolickiej, odbytego w Rzymie w dniach 7—15.X. 1951 r. — Podamy je w następnym numerze ŻYCIA.

wni" są przez nie tutaj przyjmowani. „W Polsce — mówi jedna — ja bym przygotowała posłanie wymoszczone pierzynami". — „E, wy, — — mówi druga — wy byliście prawdziwą gospodynią, a ja tylko komornicą, a i ja byłabym ich ugościła jak się patrzy".

Gdy się rozbudziłem na dobre, jedna z nich mówi, bym poszedł spowiadać jej męża. Zadziwiła mnie ta zmiana, która zaszła od wieczora, gdy wysiłki moje pozostały daremne. Owa kobieta mówi mi jednak, że ją mąż sklął dzisiaj, gdy jeszcze raz wspomniała o spowiedzi, ale ona rzekła: — Dobrze, więcej nic mówić nie będę, ale co by twoja matka powiedziała na to, że ty się nie chcesz wyspowiadać a jesteś chory i leżysz w takim miejscu, gdzie jest czymś nadzwyczajnym, gdy się ksiądz znajdzie.

On krzyknął tylko:

— Nie ruszaj matki!

— Matki ci nie ruszam, ale mówię ci, co ona by powiedziała na to, że ty jak bezbożnik, nie chcesz księdza i Pana Jezusa odmawiasz.

On na to powiedział:

— Idź i proś księdza.

Rzeczywiście wyspowiadał się pięknie. Mszę św. odprawiłem na tapczanie, bo nie było w izbie stołu ani pieca, tylko ognisko z kominem. Było to już dowodem postępu, bo zwykle na środku izby było palenisko z dziurą w dachu.

Po Mszy św. wybraliśmy się na jarmark, tzw. bazar. Chciałem kupić trochę żywności dla naszych gospodarzy. Gdy chodziłem po bazarze czyniąc zakupy, podszedł do mnie młody człowiek w tamtejszym regionalnym stroju i zażądał legitymacji. Powiedziałem, że legitymację mogę pokazać tylko wtedy, gdy będę wiedział, kim on jest. Na to kazał mi iść za sobą. Wezwałem księdza subdiakona i poszliśmy za nim. Pokazywał nam po drodze stare wały jakiejś kirgizkiej warowni.

Zaprowadził nas na placówkę NKWD. Tu musieliśmy czekać na komandira. Spieszyło nam się bardzo, gdyż była to niedziela i w pewnej miejscowości pod Andiżanem zapowiedziałem się ze Mszą św. koło południa, a było to o jakichś 20 km.

Po pewnym dosyć długim czasie przyszedł komandir, wysłuchał sprawy i zapytał, dlaczego nie pokazałem legitymacji. Wyjaśniłem powody: jestem w mundurze wojskowym w stopniu majora, a więc mogę się legitymować tylko mundurowemu, lub komuś, kto udowodni kim jest. Całe towarzystwo Kałmuków, którzy się temu przysłuchiwali, uważało moje tłumaczenie za bardzo słuszne. Komandir dowiedziawszy się, dokąd się udajemy, zadzwonił po samochód, który właśnie miał jechać do Andiżanu.

Gdy samochód przyjechał, wyszliśmy, a szofer ubrany po cywilnemu, gdy zobaczył nasze mundury, rzucił się nam na szyję z niekłamaną radością, całował i ściskał. Był to Żydek z Warszawy, który tu pracował jako szofer. Dowiózł nas do Andiżanu. Przybyłem na czas, by odprawić zapowiedzianą Mszę św.

W tej miejscowości była bardzo liczna rodzina żydowska. Ojciec umierał na gruźlicę. Z powodu braku rąk do pracy byli w skrajnej nędzy. Pomogliśmy ileśmy mogli tak jak wszystkim obywatelom polskim bez najmniejszej różnicy wyznań czy narodowości.

W tym wschodnim kraju, wyłącznie muzułmańskim (było też trochę pogan) i mongolskim, Rosjan było niewielu i obywatele sowieccy nie zwracali się o pomoc duchowną. Cały ten kraj mimo wszystko jest religijny. Wiarę w Boga zachowali nie tylko starzy, ale i młodzież coś z wiary starszych przyjęła i zachowuje.

Spaczone to wszystko, ale ziarna wiary pozostały, by gdy chwila nadejdzie, znowu rozrosnąć się w coś, co może wyrówna potworne bezbożnictwo oraz areligijność i obojętność tzw. chrześcijan a nawet katolików tam, gdzie życie wiary nie napotyka gwałtownych prześladowań.

Ludność miejscowa była nam raczej życzliwa. Raz jeden jakiś chłopak na ulicy we wsi biegł za nami i wołał: „ale Budienny dał wam... bobu".

Już we dwóch z ks. subdiakonem zajechaliśmy do Margelanu położonego po lewej stronie rzeki Syr. Cała nasza podróż odbywała się po tejże lewej stronie rzeki. W Magelanie był postój 9-tej DP., która została wyewakuowana przez Persję do Palestyny pierwszym transportem. Na miejscu została komórka likwidacyjna, na której czele stał dawny mój parafianin z Zimnej Wody por. Józef Cząstkiewicz.

Wojska już nie było, za to mnóstwo Polaków, którzy się tu ściągnęli już poprzednio a teraz jeszcze przybywali z kołchozów w nadziei, że ich wojsko ze sobą zabierze.

Przyszliśmy i rozpoczęła się wielka praca kapłańska, bo trzeba było wysłuchać spowiedzi kilkuset osób, udzielić chrztu św. dużej ilości maleństw, które tu przyszły na świat. Poszliśmy też i do szpitali miejskich gdzie leżeli nasi. Bieda tam panowała nie tylko gryząc naszych ale i wszystkich, bo te szpitale były przepełnione i potwornie źle zaopatrzone.

Mogliśmy tym ludziom poświęcić tylko dwa dni. Pobyt nasz zakończyła uroczystość 1-ej Komunii św. dużej ilości tamtejszej dziatwy.

Wróciliśmy do Jangi-Jull 15-go maja 1942.

Ks. Włodzimierz Cieński

WŁADYSŁAW PELC

ŚWIĘTY KRZYSZTOF IDZIE DO WILNA

Pod księżycem wysokim i białym
Święty Starzec w Wilii srebrne ryby płoszy,
a na tamtym, na dalekim brzegu
miasto w blaskach jaśnieje.
Szeroko na niebiosach
oddycha Święty Piotr na Antokolu,
aniołowie na wieżach skrzydła złożyli, jak mewy.
Drzewa wniebowstąpieniem w srebrnym ogniu szumią,
Apostołowie na Zamku klęczą z oczami w gwiazdach i łzach.
Wilia płynie w mej duszy między brzegami wzruszenia.
Święty Starzec srebrne ryby płoszy
i pod księżycem wysokim i białym
brodu szuka kosturem, idąc do miasta-miłości.

OTWORZYŁY SIĘ OCZY

Otworzyły się oczy, jak okiennice komnaty,
zbyt długo w mroku pogrążonej,
i utonęła dusza w promienistym świetle,
budzącym pierwszą radość świtającej doby,
w tym świetle-matce wszech rzeczy idącego dnia.
Opuścił serce lęk, dusza wolnością oddycha
w Twym miłosierdziu i w Twoim czuwaniu.
Miłość zamienia widzenie w niewzruszoną pewność
wyzwoloną od trwogi nieznanych głosów nocy
otwartą słowom jasnym, poznanym wedle ich ust.
I w tej godzinie świtania nie wierzę, ale wiem,
że Syn Boży tu zstąpił pomiędzy ludzką gromadę
i czeka za kępą drzew na zakręcie drogi,
by ją wprowadzić do Swego Królestwa
w dobie zwycięstwa i doskonałego pokoju.
Wypełniły się usta smakiem wilgotnego świtu,
i podniosło się w piersi ciepłe i czerwone słońce,
a niebiosa są pełne i pełna jest ziemia
Chwały Boga.

WŁADYSŁAW PELC

J. A. TESLAR

ECHA MIŁOŚCIWEGO LATA

W tych dniach znad błękitnego Arno nadesłana, składana przez Mistrza Samuela Tyszkiewicza, typografa florenckiego, książka otwarła przed nami zaczarowany świat mistycznych dumań i modlitw Władysława Pelca, chyba najgłębszego poety katolickiego młodego pokolenia. W czasie wojny „Wiadomości" zamieściły kilka jego utworów; jeden z nich tłumaczył na język angielski, z poprzednio wydanego przez S. Tyszkiewicza tomu „Adwent" (1942) bohatersko zmarły 24-letni poliglota, F. Thompson. Przeczytawszy nowy tom Pelca, zatytułowany „M i ł o ś c i w e l a t o"*), pragnę, aby czytelnicy ujrzeli ten świat na przemian srebrny od księżyca wiernej pokory i czerwony od słońca miłości, matki wszech rzeczy.

Oto widzimy tam, jak, budując tysiące katedr ku czci Marii Panny, „zarzewie ludzkich rąk stopiło kamień, jak wosk posłuszny"; jak owa „Matka Rąk Miłosiernych i Dobrych, tuli do serca kłosy", jak tymi dłońmi „błogosławi oliwkom w Asyżu i wiernym jabłoniom pod Wilnem". Tam to zdąża św. Krzysztof „pod księżycem wysokim i białym... w Wilii srebrne ryby płoszy i brodu szuka... idąc do miasta miłości". Oto słyszymy jak Marię „chwalą Latynowie spiżem dźwięcznej mowy, Słowianie szelestną mową leśną, a Żółci Jej śpiewają na fletach swoich sylab"; jak „z wrzawy stu języków jedna płynie chwała"; słyszymy te pienia całych pokoleń nim śmierć je ogarnie, „jak sieć trzepocące się ryby i nim wyciągnie je na nieznane brzegi".

Ale są rzeczy ani widzialne, ani słyszalne, a przecież żywe, promieniejące i pełne słodyczy i woni niebiańskich, napełniających serce „jak kadź cichą woda pełna gwiazd" i poruszają je „wzruszeniem srebrnym i młodym". A wtedy „otwierają się oczy jak okiennice komnaty zbyt długo pogrążonej w mroku, a dusza tonie w promienistym świetle poznania, które jest pierwszą radością Nowej Doby". Stąd to nie potrzebujemy już tylko wierzyć, bo po prostu wiemy, „że zstąpił Syn Boży pomiędzy gromadkę ludzką, czeka za kępą drzew na zakręcie drogi, by ją wprowadzić do swego Królestwa w dobie zwycięstwa i doskonałego pokoju". Więc „wypełniają się usta smakiem wilgotnego świtu i podnosi się w piersi ciepłe, czerwone słońce i pełne są niebiosa i pełna jest ziemia Chwały Bożej".

Słuchajcie jeno i patrzcie: oto „głos Pański upadł jak ziarno na ziemię i podniósł się w kłosach, aż stało się zboże nasłuchującym czuwaniem... A kiedy wyszedł człowiek na miedzę... i na Pańskie rozkazanie wykruszył obfite i ciężkie ziarno i podniósł je Panu na dłoni... odpuszcza nam Pan dla tej dłoni w godzinie naszego spełnienia. Kłaniamy się ciężkim pokłonem kłosów, a mowa nasza szumi tym samym szelestem... I tak z szelestem spełnionego dnia czuwania kończymy nasz żywot".

A żywot ten świętego i Bogiem napełnionego poety wypełnia praca w mistycznym ogrodzie. Posadził on tam „na czterech rogach cztery sosny, symbole czujności", a w nim — same jabłonie „wśród drzew najbardziej pokorne służki. Stać będą w bieli na zwiastowanie wiosenne, a w jesieni z głową spuszczoną podadzą w zielonych fartuchach owoce rumiane i słodkie... I stanie w ogrodzie tym siedem uli, jak siedem kadzielnic, dymiących pszczelim kadzidłem w złotych promieniach". Pierwszy ul „znaczy poniedziałek, który jest Dobą Wiary"; wtóry — Dobą Pokory; trzeci, środa, to Dzień Miłosierdzia; czwarty, to Dzień zwalczania pokusy; piąty — Dobą Męstwa; szósty, Dobą Miłości, a siódmy ul jest symbolem nadziei, „Doby Rubieżnej, w której chóry śpiewają radość Przemiany, radość złotego miodu". I powziął poeta, jak mówi, myśl zuchwałą: oto postanowił „stworzyć z ogrodu tego — nieustające godzinki dla Niej — dla Matki naszego Boga".

A kiedy z tego ogrodu pięciu pątnikom podał pewnego dnia pięć jabłek, „zjedli je, usta otarli, uśmiechnęli się i poszli"; a gdy zniknęli w słońcu „jak w bramie czerwonej za lasem", ogarnęła go radość, bo spojrzał Pan nań jak na użytecznego sługę i „skosztował jabłek ustami spragnionych gości".

Tak oto, własnymi słowami skromnego poety opowiedziałem Wam o czarach mistycznych jego poetyckiej księgi, Najświętszej Pannie poświęconej z racji właśnie minionego Lata Miłościwego.

Czytając to, co wyżej napisałem o cyklu poematów Władysława Pelca, czytelnik może powiedzieć, że zamiast być krytyką literacką, czyli, jak ją trafnie definiuje wybitny krytyk Wit Tarnawski: „rozmową krytyka z pisarzem, której czytelnik się przysłuchuje" (Kultura nr 5/43), jest to niejako fono- i fotomontaż z elementów przez samego poetę podanych. Muszę tu jednak czytelnikowi powiedzieć, że to, co miałbym jako krytyk do zauważenia od strony rzemiosła, powiedziałbym raczej autorowi na ucho, bo te uwagi byłyby drugorzędne, a usterki tak dalece nie pomniejszają poczucia wewnętrznej harmonii i zachwytu nad wizją rzeczy niebieskich, o których poeta nasz ze świętą prostotą opowiada, że otrzymując tak wiele rzeczy bezcennych, ani krytyk, ani czytelnik nie będzie przybierał pozy mentora, ni kruszył kopii o parę skaz w samym dziele.

Z ulgą widzimy więc, że można zapomnieć o tylu naszych utraconych rajach i dobrach ziemskich i nie martwić się, że były i że ich nie ma. Przestajemy rozdrapywać rany i obwiniać rodaków to z prawa, to z lewa. Zanurzamy się natomiast w tym srebrnym potoku nieziemskiej, a przecież tak głęboko człowieczej radości, która, jak się to dzieje z poetą, łączy nas pogodnie z całą naturą, z tym płaszczem Boskiego Majestatu, co nas w naszej wędrówce po ziemi tak miłosiernie osłania.

Nie trapcie się więc, kłopocząc się, gdzie dziś, w gwarze wszelkich potworności, kłamstw, wynaturzania wszelkich starych prawd, bezczeszczenia ołtarzy i splugawienia sztuk możecie szukać, a owszem znaleźć, czystą, prawdziwą poezję. Powiem wam po prostu, jak ów w widzeniu św. Augustyna anioł, który, podając mu boską księgę, wyrzekł: tolle — lege! Bierzcie ją i czytajcie! Trzebaż dodać, że dzięki Mistrzowi Samuelowi wychodzi księga ta na ucztę dusz naszych w iście godowej szacie. Jaka szkoda że bibliofilski kanon tego sławnego wydawcy ograniczył nakład do skromnej a zamkniętej liczby 125 egzemplarzy!

J. A Teslar

*) Władysław Pelc M i ł o ś c i w e L a t o. Roku Pańskiego MDCCCCLI we Florenckiej Oficynie Tyszkiewiczów. Str. 48.

JAN BIELATOWICZ

ZNAK KRZYŻA W MARTWYM DOMU

„Kto przeszedł przez piekło, nie mógł już wrócić w codzienny krąg milczenia."

Jan Parandowski „Alchemia słowa".

Gustaw Herling Grudziński nie mógł wybrać milczenia, bowiem przeszedł przez piekło jako artysta-pisarz z Bożej łaski. Jego „Inny świat", spoczywający w polskim rękopisie i zbierający laury jako książka angielska*) jest najwybitniejszym od wielu lat dziełem literatury polskiej i wydarzeniem w piśmiennictwie światowym. Jest to utwór zbudowany z najtrwalszego budulca literackiego: z wielkiego talentu opisowego i ze szczerej rudy życia.

Być może, że po naszej epoce — epoce kilkunastu albo i kilkudziesięciu lat drugiej wojny powszechnej i jej przewlekłego pokojowego epilogu — nie pozostaną trwałe dzieła literackiej fikcji. Aby stawiać pałace, trzeba wprzód uprzątnąć rumowiska. Aby zaś było z czego wznosić nowe pałace, trzeba cierpliwie i umiejętnie rozbierać ruiny i opukiwać cegłę po cegle ludzkich wartości, czy będą jeszcze przydatne w budowie nowego świata. Pozostaną po naszej epoce inżynieryjne zapiski konstrukcji starego świata i świadectwa katastrofy. Jest to w literaturze rodzaj, który by można nazwać artystycznym świadectwem. W literaturze polskiej trwa właśnie era świadectw arstycznych, a jej szczytem jest do tej pory „Inny świat" Herlinga Grudzińskiego.

Próby zamknięcia lat katastrofy w łupinie fikcji albo pomniejszają prawdę do lilipucich rozmiarów albo rozsadzają okrągłą skorupkę, wybuchając ognistą lawą poza granice literackiej konwencji. Powstają albo podrabiane miniaturki życia — w rodzaju „Węzłów życia" lub „Zmowy nieobecnych" albo ponad i pozakonwencjonalne świadectwa artystyczne. Próby zaklęcia przeżyć z obozów sowieckich w czystą formę beletrystyki kończą się niepowodzeniem: powieści Herminii Naglerowej i Mariana Czuchnowskiego nie są poprawnymi gatunkami powieściowymi. Poza ich ściany przenika krzyk żywego człowieka, który pisał i widział.

Oto najgłębsza przydatność literatury. Nie ma sposobu, aby prawdziwiej i wierniej przekazać pamięć o wyjściu człowieka z granic ludzkości, o trzęsieniu ziemi i potopie naszych czasów. Pisarze posługują się dwojakim rodzajem świadectwa artystycznego: albo realistycznym opisem, który nie stara się schodzić w głąb ni tłumaczyć faktów, albo opisem, który też docieka przyczyn i usiłuje zrozumieć. Ostatni rozdział książki Grudzińskiego kończy się wstrząsającym i mistrzowsko niedopowiedzianym dramatem: jeden z tych, którzy przeżyli, powodowany naturalną potrzebą duszy, spowiada się współtowarzyszowi z więzienia ze zbrodni wymuszonego donosu, oczekując słowa: „rozumiem", co by się w języku wierzących wykładało: „rozgrzeszam". Słowo to nie pada i zgarbiony człowieczek odchodzi z goryczą w swoje życie. Pisarz jednak nie rzuca za nim przekleństwa. Książka Herlinga Grudzińskiego jest bowiem próbą wytłumaczenia ludzi o skażonej przez zorganizowaną zbrodnię naturze, usiłowaniem zrozumienia dusz zamkniętych w martwym domu, wierceniem się przez rogne pokłady do jądra człowieczeństwa.

„Inny świat" składa się z kilkunastu rozdziałów, objętych wspólnym tematem — przeżyć w sowieckich obozach pracy przymusowej — ale nieskrępowanej zbyt mocno tokiem czasu. Jest to jedna z zalet książki. Każdy z jej rozdziałów stanowi wykończony, niezależny obraz, wszystkie zaś tworzą serie czy jakby cykl grottgerowski. Autor nie wylewa chronologicznie całej zawartości pamięci, lecz wybiera obrazy, które posiadają rysunek i barwę literacką, nie przedziera się przez temat, ale nad nim panuje. Nie raczy czytelnika ostrużynami szczegółów. Opowiadania posiadają gładkość i strzelistość ociosanych masztów. Są to przeważnie obrazy z rzeczywistości, a wśród nich przewija się tylko kilka udramatyzowanych narracji. Są to jakby ucieczki pisarza od ciężaru świadectwa w świat artyzmu, ograniczonego wszakże zawsze w tematyce drutami łagru.

Podziwu godna jest sztuka pisarska Gustawa Grudzińskiego. Jest to wielokaratowy realizm, pisarstwo aż do okrucieństwa wierne życiu, nie znoszące nawet mchu fantazji na jego konarach. Wysiłkiem pisarskim pragnie Grudziński przytoczyć przed nasze oczy całą bryłę „innego świata". Rzadko kiedy dzieło literackie pozwala widzieć tak dokładnie i wyraziście opisywane miejsca, ludzi i sprawy. Nie jest to jednak naiwny realizm, przeczący niezależności życia psychicznego od materii, wolności i różnorodności osób ani nawet istnieniu sił pozanaturalnych. Grudziński wprawdzie nie przekracza bramy wiary, ale jej też nie zatrzaskuje, a nawet bardzo sumiennie notuje, że przez tę bramę przechodzą najlepsi z ludzi w „innym świecie".



GUSTAW HERLING-GRUDZINSKI

Grudziński pracuje pisząc. Podejmuje słowa jak kamienie, ale je tak wyprawia i opukuje do literackiej konstrukcji, że mają lotność gołębich skrzydeł. Co jest jednakże pisarstwa tego właściwością uderzającą, to talent układania fundamentów. Białoskrzydłe witraże przepuszczają skąpo poezji w nawę dzieła Grudzińskiego. Nie gardzi on nawet słowem wulgarnym, brudnym, kalekim. Celem bowiem tego pisarstwa jest nie powiększanie królestwa fantazji, ale męczący trud przelania rzeczywistości w słowa.

To nie wszystko. Trud pisarza jest znacznie większy, co sprawia, że „Inny świat" jest książką niepowszednią. Grudziński podejmuje w niej mianowicie próbę odkrycia psychicznego mechanizmu potwornej choroby ludzkości. Rozszerza wiedzę o człowieku, spisuje bogate doświadczenia z zakresu psychopatologii ludzi pozornie normalnych, ludzi o zdrowych zmysłach. Odsłania plamy i zaćmienia duszy, dotyka nerwów, które mogą zburzyć porządek wiedzy o człowieku. Równocześnie z pełną odwagą i mocą godności ludzkiej wskazuje na sprawców i ich sposoby, przywołując ludzkość na ratunek. „Inny świat" jest manifestem o mobilizacji sumień.

Świat Gustawa Grudzińskiego zaszczepiony jest na pniu etyki. Jego książka wypełniona jest po brzegi krystalicznym powietrzem moralności. Sens życia dostrzega autor w oparciu o wartości moralne i w nieustępliwej walce o nie. Na instrumencie pisarskim Grudzińskiego struny etyczne są najczulsze. „Inny świat" nie jest dziełem polityka ani społecznika: to credo moralnego człowieka. Mało jest książek, które po zamknięciu ostatniej karty równie mocno budzą nostalgię za prawością życia. Nie ma cienia wątpliwości, że etyka Grudzińskiego jest chrześcijańska.

Niestety Gustaw Grudziński nie wychodzi poza etykę. Przystanął na tym najgrubszym, ale nie najwyższym szczeblu drabiny Jakubowej. Nie jest to człowiek wierzący, ale zapewne nie dalekie od prawdy będzie stwierdzenie, iż jest to człowiek szukający wiary. Nie ma u niego nawet sceptycyzmu. Stan duchowy pisarza możnaby określić jako „czyhanie na Boga", prowokowanie Jego łaski. „Ze wszystkich objawów śmierci ten proces odłączania się od własnej osobowości jest chyba najstraszniejszy i najbardziej sprzyja nawróceniu. Cóż bowiem pozostaje, jeśli się nawet nie wierzy, że kiedyś, na tamtym brzegu wędrówki ziemskiej, nastąpi na powrót cudowne przeniknięcie się ciała porzuconego na deskach cierpienia i wyciekającej zeń jak krew z żył treści życia? Były to chwile, kiedy żałowałem, że zaskorupiawszy w obozie, nie potrafię się modlić; byłem jak jałowa, wysuszona na żużel i spękana w słońcu pustynnym skała, z której dopóty nie wytryśnie żywy zdrój, dopóki jej nie dotknie cudowna laska."

Mimo to etyka Grudzińskiego nie legitymuje się wiarą, choć pisarz nie pogardza nią u innych. W jego sądach o wierze, jakże uporczywie powracających na karty opowiadań, łatwo wykryć nieświadomość. Grudziński za istotę katolicyzmu uważa raczej naiwnie wiarę w cudowność, lekceważąc jej stronę umysłową i naturalną. Nadprzyrodzone doświadczenia religijne posiadają na tym świecie tylko jednostki wybrane. „Wiara nie szuka doświadczenia i nie opiera się wcale na doświadczeniu. Ona staje u progu stwierdzonej powagi przemawiającego Boga i przyjęciem podanej sobie prawdy hołd tej powadze oddaje." (J. Rostworowski T.J. „Na pograniczu wiary i nadprzyrodzonych doświadczeń religijnych", Przegląd Powszechny, tom 232). Za nadprzyrodzoną jednak łaskę katolicy uważają dar wiary. Posiadając ten dar, łatwo już Boga doświadczać na drodze naturalnej. Zdanie takie, że katolików spotkałby zawód, gdyby się przekonali, iż życie pozagrobowe nie różni się od doczesnego, jest fałszywe. Dobrzy katolicy chwalą Boga nie tylko dla obietnicy królestwa niebieskiego.

Niemal wszystkie przykłady Grudzińskiego, pobudzające w nim sceptycyzm wobec wiary, są nietrafne, nie chodzi jednak o szczegóły. W rozdziale pt. „Trupiarnia" autor nazywa byłego popa Dimkę „chrześcijaninem", który „definitywnie przestał wierzyć w Boga". Jest to taki sam paradoks, jak opieranie się na etyce chrześcijańskiej bez wiary w Boga. Gdzież bowiem są źródła etyki? W człowieku? W tym człowieku, którego królestwem jest „Inny świat"? Wszak właśnie komunizm sowiecki zasypał Boże źródła etyki, a wywiercił je w człowieku, co doprowadziło do obecnej rzeczywistości. Jeśli człowiek nie boi się Boga, musi bać się człowieka. Jeśli człowiek nie uzna dwu pierwszych przykazań, na marne pójdzie zachowywanie ośmiu pozostałych. Etyka sowiecka, a przed nią tyle innych, to smutne przykłady moralności, normowanej przez ludzi. Moralność musi zawisnąć u bram niebios, jeśli ma być wspólnym dobrem ludzi, a nie zbrodniczym narzędziem w ich ręku. Etyka nie mniej niż cokolwiek w religii wymaga uzasadnienia nadprzyrodzonego pochodzenia. Dziesięcioro przykazań odebrała ludzkość od Boga na długo przed przyjściem na świat Zbawiciela. Droga zaś, która odwraca się lub omija Boga, wcześniej czy później musi zaprowadzić w „inny świat". Ludzie uznający etykę chrześcijańską bez wiary w Boga krążą wokół prawdy, nie mogąc do niej trafić, ale nie mogąc się także oderwać od jej pola magnetycznego. Żyją w cieple ogniska, którego nie podniecają.

Gustaw Herling Grudziński wykonał olbrzymią pracę psychologiczną, rejestrując bezmiar poruszeń i motywów deptanej i potwarzonej duszy. Być może, że wiele z nich ukazałoby mu się inaczej w świetle wiary. Nie uwierzył, aby Bóg mógł dopuścić tyle zła, chyba że opuścił ludzi. A jednak znak krzyża, który tylekroć pojawia się na piersiach więźniów, opisanych przez Grudzińskiego, starczy za całą nadzieję.

Jan Bielatowicz

*) Gustav Herling A WORLD APART. Translated from the Polish by Joseph Marek. With Preface by Bertrand Russell. O. M. W. Heinemann Ltd. London 1951. — Stron 262, twarda okładka, ilustracje. Cena 16/-. Do wydania angielskiego dołączona jest wymiana listów na tematy obozów pracy przymusowej w Sowietach na łamach czasopism angielskich. Pisma brytyjskie przyjęły książkę zgodnym chórem pochwał. Szczególnie pochlebne recenzje ukazały się w „Times Literary Supplement" i w „Observer". Recenzje podkreślają również znakomite tłumaczenie, dokonane przez Andrzeja Ciołkosza. Nazwiska na wydaniu angielskim książki są ze względów wydawniczych uproszczone.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Niedziela 11 listopada 1951.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Cztery książki o Sowietach. W jednym dłuższym artykule recenzyjnym „Times Literary Supplement omawia świeżo wydane cztery książki o Rosji Sowieckiej: Gustawa Herlinga „A World Apart", J. Czapskiego „The Inhuman Land", J. Mackiewicza „The Katyn Wood Murders", oraz Rosjanina Władimira Pietrowa „It Happens in Russia". Recenzent robi na początku mało przekonywające zastrzeżenie, że książki te obrazują tylko ciemną stronę życia sowieckiego, „the dark side of the moon" i że „normalne życie obywatela sowieckiego" być może wygląda inaczej. Niemniej recenzent podkreśla, że ci, którzy odmawiają czytania książek tych świadków, byle tylko zachować nienaruszoną niewinność, są winni nieuczciwości intelektualnej najgorszego typu, prawdziwej „trahison des clercs".

Za zdecydowanie najlepszą spośród tych czterech książek autor uważa rzecz Herlinga, która „przedstawia nie tylko największą wartość dla każdego, kto pragnie zrozumieć sowiecki system robót przymusowych, ale jest także pełnoprawnym dziełem literackim". Herling — zdaniem recenzenta — opisuje przeżycia w obozie koncentracyjnym „z intesywnością, która przewyższa Dostojewskiego, od którego słynnego opisu wzięty został tytuł książki".

Recenzent chwali także książkę Czapskiego, stwierdzając, że rzadko tylko pozwala on swym zrozumiałym uczuciom na zniekształcanie swych sądów, oraz, że szczególnie wartościowe są jego obrazy życia rosyjskiego z okresu największego napięcia i rozprzężenia.

Natomiast zdaniem recenzenta książka Mackiewicza jest pisana z „uprzedzeniem" i dlatego nie jest przekonywająca. Książkę Pietrowa autor chwali umiarkowanie, stwierdzając, że brak jej „niezmiernej siły przekonania książki p. Herlinga i widocznej uczciwości książki p. Czapskiego".

Przy końcu znajdujemy znowu dosyć nieoczekiwaną opinię, że „być może, jeśli potrafimy być cierpliwi, okaże się, iż reżym komunistyczny nosi w sobie zarodki własnego zniszczenia".

Piekło obozów hitlerowskich. Znany ze swych wystąpień przeciw pracy przymusowej w Sowietach David Rousset ogłosił obecnie drugą obszerniejszą książkę pt. „Les jours de notre mort", opisującą własne przeżycia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, w których spędził 16 miesięcy.

Już poprzednio przeżycia te Rousset opisał w krótszej postaci w książce pt. „L'univers concentrationnaire", ogłoszonej w Paryżu w r. 1946. Angielska wersja tej książki, w tłumaczeniu Yvonne Moyse i Rogera Senhouse, ukazała się w tych dniach pt. „A World Apart" (Secker and Warburg, cena 9/6). Recenzent „Times Literary Supplement" uważa za fakt dodatni, że książka ta wydana została właśnie teraz, kiedy „pewni apologiści odgrzebują całkiem nieoczekiwane cnoty wśród niemieckiej kasty wojskowej". Dlatego dobrze jest spojrzeć głębiej na tę „ostateczną degradację, do jakiej zstąpił naród niemiecki pod Hitlerem, — degradację organizowaną umiejętnie i świadomie przez państwo, które uzyskało władzę tylko dzięki zgodzie niemieckiego sztabu generalnego".

Niestety uwagi tego rodzaju pojawiają się w prasie angielskiej dosyć rzadko. Książka Pageta o Mannsteinie, wybielająca tego generała niemieckiego, doczekała się wielu przychylnych recenzji. Na tej samej zaś stronie „Times Literary Supplement" gdzie mowa jest o tłumaczeniu książki Rousseta, znajduje się również recenzja nowej rzeczy B.H. Liddell Harta: „The Other Side of the Hill. Germany's Generals: their Rise and Fall with their own Accounts of Military Events, 1939—1945" (Cassell, cena 17/6). Liddell Aart opisuje tam przebieg wojny na podstawie relacyi generałów niemieckich (przede wszystkiem Guderiana), z którymi na te tematy sam rozmawiał. Recenzent zaznacza, że Liddell Hart okazuje pewną stronniczość na rzecz wersji przedstawianych przez tych generałów i jeśli nie zachowuje równowagi w sądzie to raczej na rzecz tych „świadków", nie przeciw nim, — uważa jednak, że mimo to książka dostarcza dużo cennego materiału historycznego.

Listy św. Teresy z Awili. Katolicka firma wydawnicza Burns Oates ogłosiła w angielskim przekładzie listy św. Teresy z Awili („The Letters of Saint Teresa of Jesus", dwa tomy, cena 3 gwinee). Listy te pełne są szczególnego uroku i posiadają znaczną wartość literacką. Przekładu dokonał E. Allison Peers.

Książka filozofa polskiego. Oxford University Press ogłosiła właśnie pracę filozofa polskiego Jana Łukasiewicza pt. „Aristotle's Syllogistic from the Standpoint of Modern Formal Logic" („Syllogistyka Arystolesa z punktu widzenia nowoczesnej logiki formalnej", cena 15/-). Łukasiewicz należy do polskiej szkoły logiki matematycznej, której głośnym przedstawicielem w Anglii jest Bertrand Russell; podstawowym dziełem tego kierunku są „Principia Mathematica" Russella i Whiteheada.

W przededniu wojny. Mnożą się zbiory dokumentów dyplomatycznych z okresu międzywojnia i samej wojny. Obok nowego tomu „Documents on British Foreign Policy", o którym pisaliśmy, ukazał się obecnie tom I „Documents on International Affairs, 1939—1946", obejmujący okres od marca do września 1939 r. Redaktorem tej serii jest Arnold J. Toynbee, wydawca Royal Institute of International Affairs; Oxford University Press (cena tomu 50 sh.). Wydany obecnie tom obejmuje wiele dokumentów dotyczących Polski i dlatego zasługuje na szczególną uwagę z naszej strony. Interesujące pod tym względem będą niewątpliwie i dalsze tomy, obejmujące okres po Jałcie i uznanie narzuconych reżymów komunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej.

KRONIKA MUZYCZNA

KONCERTY, KRYTYCY I — BOMBY

Artykuł niniejszy jest wstępem do Kroniki Muzycznej, jaka ukazywać się ma na łamach ŻYCIA. Celem Kroniki będzie informowanie czytelnika o koncertach, które warto posłyszeć, i ocena tych koncertów. W artykułach moich chciałbym też dać pewien całokształt życia muzycznego Londynu — o ile synteza taka jest w ogóle możliwa, zważywszy olbrzymią ilość i różnorodność występów muzycznych w stolicy W. Brytanii. Estrady tutejsze są ambicją wszystkich artystów świata, a marka raz tu wyrobiona, ceniona jest wszędzie. Nic też dziwnego, że oddzielenie ziarna od plew jest często trudne dla przeciętnego słuchacza. Koncertów tu jest tyle, że czasem po prostu nie wiadomo, na co iść. Krytyk ma więc w Londynie pole do popisu.

Bernard Shaw powiedział kiedyś, że człowiek, który umie coś robić dobrze, robi to; dyletant natomiast uczy innych, jak robić to, czego sam nie potrafi. Muszę przyznać, że, mówiąc o zawodowych krytykach, zawsze przychodzi mi na myśl pewien dodatek do tej złośliwej cytaty: „Kto nie nadaje się ani na wykonawcę, ani na nauczyciela — zwykle krytykuje innych". Istotnie, być złym krytykiem nie jest bynajmniej trudno. Pewna znajomość żargonu technicznego z danej dziedziny i trochę banalnych frazesów często pokrywają brak prawdziwego zrozumienia przedmiotu i brane są za dobrą monetę przez czytelnika, którego, niestety, oszukać jest dość łatwo. Przeglądając krytyki, często wyczytać można niesamowite banialuki, które uchodzą jednak za konstruktywną analizę. Papier jest cierpliwy i wszystko wytrzyma! Istnieje też pewien typ krytyka-snoba, który, posiadając nieco wiadomości i rutyny, na każdym kroku wmawia w czytelnika, że jego (piszącego) wymagania i standarty są tak niesłychanie wysokie, że nikt ich osiągnąć nie może. Nie ma takiej rzeczy, której by nie zgłębił. U niego najlepsi artyści zasługują najwyżej na „dostatecznie". Potrafi klepać Beethovena poufale po ramieniu i mówić, że 5-a Symfonia jest zbyt popularna aby mogła zaliczyć się do arcydzieł. Chopina i Liszta automatycznie odrzuca dla tego samego powodu. Fakt, że jakiś artysta jest lubiany i potrafi porwać publiczność, uważa za wielce podejrzany i raczej w złym tonie.

Jeśli chodzi o mnie, nie mam zamiaru udawać przed czytelnikiem mądrzejszego niż jestem. Terminologię muzyczną zredukuję do minimum i nie będę pokrywał braków górnolotną retoryką w stylu przedwojennych wypracowań gimnazjalnych na tematy narodowe. Krytyka pisana nieszczerze nie ma w ogóle sensu, a wielka ilość słów zwykle kryje brak szczerości. Nie będę się też kusił się o wyrażenie tego, czego słowami i tak wyrazić się nie da. Na przykład „opisać" dokładnie 9-tą Symfonię Beethovena jest równie niemożliwe, jak zmierzyć linijką odległość od ziemi do księżyca. Muzyka bowiem ma swój własny, wyłączny język i nie posługuje się symbolami, wziętymi z życia codziennego. Przemawia bardziej bezpośrednio, bez skojarzeń ze światem widzialnym. Dlatego też doskonałość w muzyce jest osiągalna w większym — wydaje mi się — stopniu niż w innych gałęziach sztuki.

Londyn, miasto-olbrzym, a raczej zlepek wielu miast, jest chłodny i opanowany — na codzień. Na ulicach się nie krzyczy, w autobusach rozmawia się półgłosem (to znaczy, z wyjątkiem Polaków i innych „foreignerów"), wieczory są zbyt zimne, by je spędzać siedząc na otwartym powietrzu i dyskutując politykę. Nawet pijacy na ogół nie są interesujący, mało śpiewają i nie wszczynają awantur. Na ulicach się nie żyje, używa ich się po prostu, by przenosić się z miejsca na miejsce i to możliwie jak najszybciej. Wystarczy jednak pójść na koncert, a chłód i rezerwa ulicy pozostają za drzwiami. Znajdujemy się w tłumie entuzjastów.

Najlepszym tego przykładem są koncerty promenadowe (Proms), odbywające się w Londynie w okresie letnim. Od czasu zapoczątkowania ich, z górą pięćdziesiąt lat temu, popularność ich wzrosła i to do tego stopnia, że zaliczają się obecnie do jednej z instytucji angielskich. Jeden z Promsów (czy jak je tam nazwać), specjalnie utkwił mi w pamięci. Było to w roku 1944. Atmosfera w mieście była, jak na froncie; chodziło się po ulicach z jednym uchem skierowanym w niebo, nadsłuchując, omal że nie węsząc, skąd nadleci następna „bomba latająca". Pomimo to, wielka sala Albert Hallu nabita była szczelnie najbardziej „demokratyczną" publicznością świata. Młodzi entuzjaści ze wszystkich warstw społecznych zajmowali przeważnie miejsca stojące — arenę i galerię. Wszędzie widziało się mundury wojskowe. Dyrygentem tego dnia był Sir Henry Wood, twórca i organizator „instytucji promenadowej". Przy dyrygencie stała czerwona lampa. W pewnym momencie, przy dźwiękach uwertury „Latający Holender", lampa zabłysła. Na znak dyrygenta orkiestra przestała grać i głos przez megafon oznajmił, że jest alarm i kto chce, może opuścić salę. Na pięć tysięcy osób zaledwie kilkadziesiąt ruszyło w stronę wyjścia. Po chwili „Latającego Holendra" rozpoczęto od nowa, a wkrótce potem „latająca cholera" omal że nie zawadziła o kopułę Albert Hallu. Muzyki jednak więcej już nie przerywano, a na końcu koncertu publiczność zgotowała dyrygentowi olbrzymią owację.

Lubię wspominać o tym koncercie i przypisywać mu znaczenie symboliczne. Podczas największego nasilenia wojennego, muzyka jednak tryumfowała. Dla mnie jest to jeden z dowodów, że, pomimo bomby atomowej, jednak warto żyć.

Tadeusz Świątecki

PLASTYKA

NOWE WYSTAWY

Zajmiemy się kolekcją obrazów, darowaną muzeum Victorii i Alberta przez Aleksandra Jonidesa (wejście od Cromwell Road).

W pierwszej sali od wejścia znajdujemy szereg wybitnych dzieł, charakteryzujących rozwój malarstwa włoskiego (i europejskiego) na przestrzeni 400-tu lat. „Koronacja Najświętszej Marii Panny" przez Nardo Di Cione (1343—1366 jest przykładem malarstwa zupełnie płaskiego, nie kuszącego się o jakąkolwiek interpretację przestrzeni. „Madonna z Dzieckiem" Pier Francesco Fiorentino z piętnastego wieku wiąże się już z interpretacją bryły w malarstwie i jest podkreśleniem przestrzeni dwuplanowej (Madonna z Dzieckiem plan pierwszy — tło plan drugi). „Męczeństwo Świętej Katarzyny" ze szkoły północno włoskiej z początku wieku XVI operuje wieloplanową przestrzenią, zbudowaną przy pomocy dwóch czynników: perspektywy środkowej i koloru. „Anioł ukazujący się Pasterzom" Jacopo Bassano (1510—1592) jest realizacją przestrzenno-malarską, posługującą się perspektywą linearną, światłocieniem i kolorem.

Podkreślamy, że logiczne łączenie tych trzech metod dla interpretowania przestrzeni jest charakterystyczne dla szkoły weneckiej końca XV-go i XVI-go wieku. Do tej szkoły, a więc i koncepcji malarskiej, należy autoportret Tintoretta (Jacopo Robusti, 1518—1594), bodaj najautentyczniejszy wizerunek mistrza. Wątpliwej autentyczności jest „Chrystus i Centurion" Veronese'a (1528—1598). Na tejże ścianie „Wizja Krzyża" Tiepola 11696—1770 zamyka okres rozwoju malarstwa włoskiego o rozpiętości czterech wieków. Dokładne przyjrzenie się i przemyślenie tych kilku obrazów może być wyjątkowo pouczające.

W tej samej sali podkreślimy Rembrandta „Abraham, Hagar i Ismael", „Scenę chłopską" Adriana Van Ostade i kilkadziesiąt nieporównanych, oryginalnych akwafort Rembrandta.

Do wybitnych dzieł innych szkół w tej samej kolekcji należą „Rozbitkowie z Don Juana" E. Delacroix (1798—1863), obraz niewielki rozmiarami, o cudownej materii olejnej, mogący słusznie uchodzić za arcydzieło tego wielkiego, a często nierównego mistrza. Obok „Dobry Samarytanin" tegoż autora. Dwa pejzaże Courbeta (1819—1897) są na poziomie mistrza, jednego z największych twórców francuskich z pierwszej połowy wieku XIX-go. Swego czasu przechwalany Francois Millet (1814—1874) ma tutaj jeden ze swoich lepszych obrazów „Drwale piłujący drzewo".

„Ranek" i „Zmrok" Corota (1796—1865) są autentycznymi promykami tej wielkiej gwiazdy malarstwa francuskiego. Dwa obrazy kwiatowe Fantin Latoura (1836—1904) to przykłady zimnego realizmu z okresu poimpresjonistycznego. Należy podkreślić „Scenę wiejską" Ludwika Lenain (1593—1648) malarza o doniosłym znaczeniu w szkole francuskiej, w pierwszej połowie XVII-go wieku.

Wśród paru setek obrazów szkoły angielskiej wymienimy zupełnie wybitnej jakości obraz Boningtona (1802—1828) — „Plac w Genewie" i cztery obrazy wielkiego Turner'a (1775—1851): „Burza u brzegów Yarmouth", „Rybacy pod Hastings", „Wyspa White", „Wenecja". Aby zrozumieć jak olbrzymią odskocznią od otoczenia było na owe czasy malarstwo Turnera, warto porównać obraz „Rybacy pod Hastings" z dziełem o tym samym temacie jego rówieśnika, również Anglika, akademickiego malarza, Chalona.

W tym samym muzeum otwarto nowe sale, obrazujące meblarstwo, ceramikę, tkaniny i w ogóle dekorację wnętrz w wieku XVIII-tym w Anglii. Dowodzą one jak wysoko przewyższał ten wiek, pod względem gustu, epokę wiktoriańską.

Marian Bohusz-Szyszko

NOWE FILMY

NIEMCY ZNOWU SZLACHETNI

Rok 1944, Francja. Wywiad amerykański selekcjonuje jeńców niemieckich, poszukując ochotników do dywersji i zwiadu frontowego w kraju nieprzyjacielskim. Zgłaszają się przeważnie amatorzy wysokiego żołdu; olbrzymia większość jeńców bojkotuje kolaborantów. Gdy dokonują oni samosądu na jednym z ochotników, przyjaciel zabitego, sanitariusz Luftwaffe (O. Werner) zgłasza się u Amerykanów i deklaruje gotowość współpracy. Po wyszkoleniu zostaje zrzucony z samolotu w okolicach Monachium z zadaniami wywiadowczymi, które ma wykonać wspólnie z zespołem innych żołnierzy niemieckich pod dowództwem porucznika armii amerykańskiej. Komórka szpiegowska spotyka się nad Renem, do którego dotarły w międzyczasie wojska amerykańskie. Werner, przezwyciężywszy liczne trudności, ścigany i szpiegowany przez Gestapo, zdołał zdobyć bardzo cenne informacje o zamiarach i dyslokacji Niemców. Wraz z porucznikiem amerykańskim (R. Basehart) przedzierają się przez linie niemieckie i wpław przez Ren. Raniony Werner, straciwszy nadzieję ucieczki, celowo poddaje się Niemcom, aby odwrócić ich uwagę i ogień od amerykańskiego kolegi. Zostaje rozstrzelany, a Amerykanin szczęśliwie dostaje się do swoich. Film nosi tytuł DECISION BEFORE DAWN.

Już z powyższego streszczenia widać jasno, że problem etyczny filmu nie został w scenariuszu postawiony wyraźnie. Wprawdzie producenci 20th Century Fox twierdzą, że film oparto na zdarzeniu prawdziwym, ale nawet jeśli tak było to obowiązkiem reżysera jest przeniknąć głębiej i uwyraźnić sens wydarzeń. Nie uczyniono tego ani od strony scenariusza, ani przez reżyserię. Mimo to film jest do głębi przejmujący i zdumiewająco prawdziwy dzięki wspaniałej, bardzo ludzkiej i głębokiej kreacji młodego niemieckiego aktora Oskara Wernera. Jest to rzadki przypadek nieodpartej potęgi sztuki. Choć osobiście jestem jak najbardziej sceptycznie nastawiony do możliwości istnienia w życiu idealistów niemieckich w rodzaju Wernera, uwierzyłem bez zastrzeżeń w t e g o idealistę. Jeśli tak można było zagrać — to widocznie mógł być (może jeden na kilka milionów) taki niemiecki Janko Muzykant.

Gdy zważymy, że Wernerowi nikt nie pomógł w wywiązaniu się z nad wyraz trudnego zadania, to jego zasługa artystyczna wydaje się jeszcze większa. Gra on metodą przeżywania roli bez efekciarstwa, niemal ascetycznie. Reszta zespołu na dużym poziomie; fotografia dobra; nastrój frontu uchwycono znakomicie. Poważną wadą filmu jest językowa amerykanizacja Niemców: po eksperymentach ostatnich lat i miesięcy („Four in a Jeep") należało pójść dalej w realiźmie i pozwolić każdemu mówić własnym językiem. Reżyser A. Litvak, choć nie postawił problemu, potrafił nadać akcji doskonałe tempo.

Film ROMMEL—DESERT FOX (wytwórni 20th Century Fox), opracowany według książki Desmonda Younga, wywołał burzę w angielskiej krytyce filmowej. „Uważam ten film za niebezpieczny" — pisze przenikliwy krytyk Milton Shulman. „Patrząc obiektywnie, stwierdzam że jest to dobra filmowa robota: zwięzła, dobrze grana i bardzo ciekawa" — odpowiada mu Miss Lejeune. „Wielka będzie radość w Niemczech, gdy tamtejsi obywatele zobaczą film o Rommlu" — robi gorzką uwagę J. Harman, a inny recenzent dodaje: „Wydział propagandy Oberkommando der Wehrmacht nie opracowałby inaczej tego tematu".

We wszystkich tych wypowiedział jest źdźbło prawdy. Film jest rzeczywiście inteligentnie wyreżyserowany, zawiera dużo ciekawych zdjęć (ktoś napisał złośliwie, że 1/3 filmu to stare „newsy" wojenne), zręcznie wplecionych w żywą i interesującą akcję. Jest naprawdę dobrze grany. Obok Jamesa Masona, kreującego rolę tytułową, dobrą i przekonywującą postać stworzył Leo Carrol (Rundstedt) i C. Harrwicke. Dobra jest J. Tundi w roli żony Rommla, mniej mi się podobał L. Adler jako Hitler. Tylko sceny dotyczące życia prywatnego Rommla zbyt są teatralne i za bardzo statyczne (dominuje w nich dialog).

Nie trzeba jednak mieć kompleksu antyniemieckiego, by przyznać słuszność krytykom, którzy uważają ten film za niebezpieczny, a przede wszystkim niepotrzebny. Zacny Rommel, dobry ojciec rodziny, szlachetny i rycerski dowódca, istnieje tylko w książce Younga i na filmie, ale nie istniał w życiu, ani w historii. Pocóż kosztem wielu tysięcy dolarów wieńczyć skronie hitlerowskiego generała aureolą sprawiedliwości, ba, prawie męczeństwa! Jeśli w tej wojnie poza Rommlem nie było innego dobrego generała, a zarazem przyzwoitego człowieka zasługującego na monografię filmową, ta zaiste nie może się cieszyć szary widz kinowy, który jakimś cudem wyszedł cało z piekła rozpętanego przez Hitlera, a broniącego na wszystkich frontach przez żołnierzy i generałów, w których liczbie znajdował się — gwałtownie, na siłę kanonizowany — Rommel.

Film ten ma jeszcze jeden aspekt. Wszystkie momenty humanitarne pominięto w nim z nonszalancją wprost zdumiewającą. O strasznej mordowni, w której jęczało pół Europy — ani jednej klatki celuloidowej, ani jednego słowa; najszlachetniejsze postacie filmu zastanawiają się jedynie, w jaki sposób wytargować jak najlepsze warunki pokojowe dla biednych Niemców. Hitler nie jest krwawym katem, tylko głupim kapralem, który nie umie dowodzić i przeszkadza swym generałom. „Co mnie obchodzi polityka — mówi Rommel, — ja jestem żołnierzem". A przecież polityka — to były miliony ludzi duszonych w gazie. Ale kobiety angielskie na premierze podnosiły chusteczki do oczu i pochlipywały sentymentalnie, gdy Rommel (ten z filmu) żegnał się ze swą żoną. My, Polacy, wzruszamy ramionami. Znamy gorsze pożegnania, nie straszna nam śmierć Rommla — nawet, gdy gra go z wielkim talentem świetny James Mason. Wszystko sztuczne, skłamane, zupełnie niepotrzebne.

— O —

Kto lubi angielskie komedie, powinien obejrzeć APPOINTMENT WITH VENUS, gdzie też mamy niemieckie mundury oraz autentyczną rasową Venus. Bogini spodziewa się właśnie potomka z Marsem, gdy wrogowie cywilizacji najeżdżają jej siedzibę — wysepkę Armoral w Kanale La Manche. Sytuacja jest groźna — zachodzi obawa wywiezienia Venus do Rzeszy. Ministerstwo wojny organizuje ekspedycję dla porwania zagrożonej: konstruuje się specjalną łódź (bo Venus jest krową, rasową „pedegree") przerzuca się wyprawę okrętem podwodnym i po wielu przygodach udaje się D. Nivenowi (komendant wyprawy) i Glynis Johns (ATS-ka pochodząca z Armoralu) repatriować Venus wraz z cielakiem (który się ulągł w międzyczasie). Nie obeszło się zresztą bez efektownej bitwy morskiej.

Film wcale zabawny, ale tematu nie wyzyskano. Uśmiechając się od czasu do czasu, byłem niemal rad, że historii tej krowy nie wziął w ręce jakiś Sacha Guitry lub Jaques Becher: z francuskiego „Spotkania z Venus" wyszedłbym chyba na czworakach, obezwładniony przez paroksyzmy śmiechu. A trudno: angielska powściągliwość, która ponoć przedłuża (b. nudne) życie na tej Wyspie. Reżyserował Ralph Thomas, produkcja brytyjska Betty Box.

— O —

Jak z niczego zrobić coś, jak błahą kłótnię małżeńską przetworzyć w świetny obraz filmowy tętniący życiem i młodością, a tak komiczny, że widz nieustannie przeciera oczy, załzawione od śmiechu — pokazał właśnie wspomniany wyżej Jaques Becker w filmie pt. EDWARD & CAROLINE (produkcja francuska). Treść tego filmu jest nieskomplikowana: po prostu historia kłótni małżeńskiej początkującego wirtouza-pianisty (Daniel Gelin), który został zaproszony na elegancki wieczór towarzyski, gdzie ma grać przed audytorium złożonym z głupkowatych, ale bogatych snobów. Kłótnia z żoną (Anne Vernon) wybucha o zbyt śmiało przerobioną suknię. Od słów przechodzą małżonkowie do rękoczynów, do łez i wreszcie do decyzji rozwodu, który jednak nie następuje, gdyż nudna „party" przynosi pianiście sukces artystyczny i materialny w postaci engagement na koncert, zaproponowanego przez chamowatego z pozoru, ale w gruncie rzeczy znającego się na muzyce Amerykanina. (William Tubb). Burza małżeńska kończy się pojednaniem pianisty z żoną. Gdzieś jeszcze z ducha Mariveaux, poprzez Caillaveta i Flersa, ocierając się o Pawła Geraldy i J. J. Bernarda — wiedzie swój rodowód scenariusz tego filmu, napisany przez Anette Vademant, w założeniu bardzo teatralny, opracowany jednak metodą czysto filmową i filmowymi środkami wygrany. Świetna gra całego zespołu dodaje filmowi wiele życia i barwy. Patrząc na ten obraz, widz czuje, że on, Edward i Karolina — mają razem chyba nie więcej jak pięćdziesiąt lat. Taka jest magia młodości i śmiechu, zaklęta w gallicką, błahą, ale uroczą sztukę.

— O —

THE MAGIC BOX miał być wkładem kinematografii brytyjskiej do tegorocznego festiwalu, choć premiera jego odbyła się dopiero w połowie września. Hałaśliwa reklama poprzedziła film, w którym występuje ponad 60 gwiazd ekranu i sceny brytyjskiej. Wszyscy oczekiwali czegoś wielkiego, stąd może lekkie rozczarowanie, które ogarnęło mnie po premierze. Rzeczywiście ponad 60 gwiazd kręciło się w różnych mniejszych i większych rolkach wokoło głównej planety — Roberta Donata, który wcielał postać Williama Friese-Greene'a, ojca kinematografii brytyjskiej. Ilość ta (może nadmiar?) nazwisk aktorskich, była oczywiście główną atrakcją filmu. Sam pomysł uznać trzeba za ładny: artyści filmowi i sceniczni składają hold cieniom wynalazcy, człowieka, który rodzinę i wszystko co posiadał poświęcił swojej pracy wynalazczej, by umrzeć zapomniany i opuszczony.

A jednak gra aktorów, choć najlepszych i w tak wielkiej ilości, nie była w stanie stworzyć arcydzieła. Film ten można było zrobić lepiej, znacznie lepiej. Miejscami jest rozwlekły, po prostu nudny, a wydźwięk ma zbyt sentymentalny — rzecz rzadka w filmie angielskim. Amerykańskie filmy biograficzne o Pasteurze (z Pawłem Muni) i Edisonie (Spencer Tracy) biją „Magic Box" o wiele długości. Zawiódł reżyser i scenarzysta — pp. John Boulting i Eric Gambler, którzy mieli zresztą niełatwe zadanie, bo życie Friese-Greene'a nie było ani barwne ani specjalnie ruchliwe; dramatyczna jest jedynie śmierć wynalazcy na zebraniu przemysłowców filmowych, którzy nic o nim nie wiedzą. — Ten moment wyszedł najlepiej w filmie. Donat stworzył ciepłą i bardzo ludzką postać; obok niego wybija się na czoło L. Olivier w krótkim epizodzie jako policjant z City. Maria Shell ciepło i z wdziękiem odtworzyła pierwszą żonę wynalazcy.

— O —

VALEY OF EAGLES miałem zamiar złożyć na cmentarzyk (na honorowe miejsce i z pochlebnym epitaphium), ale zwyciężyły te orły. Bo ostatecznie nie codziennie się zdarza oglądać orły wytresowane do walki z wilkami i rzeczywiście walczące z nimi zuchwale i zwycięsko. Reżyserowi, operatorom, zwłaszcza „zwierzęcej dyrektorce" („Animal Director" — tytuł wzięty żywcem z drukowanego programu) p. Heldze Lunde udało się uchwycić i oddać na ekranie ten ciekawy i pasjonujący sposób użycia orłów do polowania. Lapończycy unikają strzelania w niektórych górskich okolicach, aby nie powodować lawin — stąd tresowanie orłów.

Do bardzo interesującej części folklorystyczno-myśliwskiej doczepiono ohydnie bzdurną historię o szwedzkim uczonym (J. MacCallum), który głos przerabia na energię elektryczną. Podły asystent profesora (M. L. Wood) uwodzi mu żonę i zabiera ze sobą idiotyczne aparaty. Właśnie pościg za tą parą daje okazję do pokazania wilków i orłów oraz profesora, wpadającego w ramiona uroczej, ale niezbyt lapońskiej Laponki—Nadii Gray. Mając do dyspozycji orły i wilki, można było podciągnąć trochę ludzi (zaczynając od reżysera) i film byłby wspaniały.. Niestety, nie uczyniono tego i wyszło ni wilk, ni orzeł — pożal się Boże.

„Flying Laethernecks" można by ostatecznie umieścić trochę wyżej, ale niech idzie na „cmentarzyk" za swój brak oryginalności. Jest to bowiem amerykański film wojenny, sławiący według recepty 568776 (tajne łamane przez poufne, ale już do ujawnienia dla dobra służby) pewien gatunek broni, a mianowicie lotnictwo wsparcia (Marine Corps Squadron). Oczywiście jest tam surowy dowódca (John Wayne), ale brak wszelkich głębszych problemów. Warto jednak film ten obejrzeć dla dobrych (kolorowych) sekwencji wojennych. Reżyserował Nichols Ray, wytwórnia R. K. O.

„He Run All the Way". Wbrew treści tytułu główny bohater (b. dobrze zagrany przez Johna Garfielda) czyni wszystko, aby nie biegać. Ma ku temu poważny powód: dokonał rabunku na kasjerze i zabił policjanta, woli zatem siedzieć w mieszkaniu szanowanej robotniczej rodziny, zamiast uganiać po mieście. W końcu zostanie zabity przez policję, bo tak nakazuje kodeks moralności filmowej, ale przedtem rozkocha w sobie wcale niebrzydką, chociaż głupią dziewczynę (Shelley Winters), bo bez erotyki nie byłoby kasy i melodramatu. Fałszywy tytuł, fałszywe charaktery, pretensjonalna pseudopsychologia fikcyjnego pościgu. Unikać tej bzdury wykonanej przez United Artists.

„Dallas". Film niezwykle zawiły, a do tego gadany amerykańskim żargonem. Gary Cooper, po wojnie secesyjnej, postanawia technikolorowo i konno wymordować trzech braci Marlowów, którzy zagrabili mu mienie i wytrzebili rodzinę. Czyni to z zimną krwią i determinacją godną lepszej sprawy, udając szefa służby bezpieczeństwa w podmeksykańskim miasteczku Dallas, a prawdziwego „marshala" zmuszając do odegrania roli swego adiutanta. Władze wyższe nie karcą samowolnego poszukiwacza zemsty, ale przeciwnie wynagradzają go skasowaniem wyroku (zapewne śmierci), wiszącego nad długonogim warcholem. Obraz głupawy i nieetyczny niestety nakręcony przez Braci Warner. Rozrywka żadna.

„The Lady Pays Off". Nudnawa i mało przekonywująca historyjka bardzo ładnej i pięknie zbudowanej Lindy Darnell, tu supernauczycielki („Teacher of the Year"). Szuler i właściciel spelunki hazardu, Stephen McNely, wygrywa ją na rulecie i osądza na stanowisku guwernantki swej rozkapryszonej córki Gigi Pereau w nadmorskiej, luksusowej spelunce. Rzecz kończy się oczywiście małżeństwem urodziwej laureatki dziwacznego konkursu z wciąż chamowatym, ale już nawróconym z karciarstwa ex-szulerem. Cacy, cacy: oto tryumf amerykańskiej pedagogiki. Wypocili to (z trudem) dżentelmeni z Universal International Pictures z reżyserem D. Sirkiem na czele.

„Mark of the Renagade" bije poprzednie pozycje wprost nieprawdopodobnym brakiem prawdopodobieństwa, co Anglicy nazywają „to-hell-with-credibility". Afera kostiumowa i wściekle kolorowa sprzed 130 lat, rozgrywająca się na tle południowej Kalifornii, głównie w szumnie brzmiącym „pueblo de los Angelos". Szpady, pojedynki, wspaniałe stroje mężczyzn (sam bym się tak ubrał!), czarny charakter w białym, atłasowym fraku (Gilbert Roland) i ponad wszystko szlachetny i piękny (stale goły do pasa) renegat (Richardo Montalbano), który „okazuje się nie być" renegatem, lecz tajnym agentem rządu meksykańskiego. Naprawdę piękne są tylko tańce hiszpańskie, które główny bohater odtwarza z uroczą Cyd Charrisse. Film Universal International Pictures.

(sp)

ZAPISKI LONDYŃSKIE

PRZECIW ŻARGONOWI BUROKRATYCZNEMU

W „Observerze" znany pisarz, Ivor Brown, ostro występuje przeciw zanieczyszczaniu języka przez biurokrację i specjalnemu stylowi, jakiego ona używa. Brown tłumaczy to zjawisko tym, że żargon jest czymś w rodzaju uniformu. Anglicy lubią nosić stroje rytualne zarówno w życiu cywilnym jak w wojsku i dlatego znajdują upodobanie także w rytualnym wysławianiu się, które Amerykanie określają mianem „Gobbledygook". Istnieje „Gobbledygook" prawa, teologii, biurokracji, finansów, sportu, krytyki.

Dla biurokraty napisać np. „Wages cannot be altered yet" („Płace nie mogą jeszcze być zmienione") byłoby obrazą przyzwoitości; zamiast tego powie on: „A revision of the wage-structure is not within early expectancy" („Rewizja struktury płac nie mieści się w granicach bliskich oczekiwań"). W taki to sposób urzędnik okazuje się godnym swego departamentu i lojalnym wobec swego melonika i pasiastych spodni. Dziennikarze zachowują się w sposób bardzo podobny.

Czy jednak istotnie jest to cechą tylko angielską? Czy nie byliśmy świadkami czegoś bardzo podobnego w Polsce — i czy nie widzimy tego nawet czasami i dzisiaj na emigracji, choć oczywiście w skali odpowiednio zmniejszonej?

KIEPURA NA EKRANIE

Jeden z kinoteatrów londyńskich, „Berkeley" przy Tottenham Court Rd. wyświetla obecnie kolejno szereg sfilmowanych oper, wykonanych przeważnie przez doskonałych śpiewaków z mediolańskiej „Scali" i z Rzymu. Kolejno ukazały się już: „Faust", „Traviata" i „Kopciuszek" Rossiniego, który ma być powtórzony w okresie Bożego Narodzenia.

Dnia 28 października pojawiła się zmodernizowana wersja „Cyganerii" (pt. „Her Wonderful Lie") w której główne role śpiewają Jan Kiepura i żona jego Marta Eggerth, a sekunduje im chór i orkiestra opery rzymskiej. Później przyjdzie kolej na „Łucję z Lammermoor", „Cyrulika Sewilskiego", „Trubadura" i „Pajaców".

TEATR FRANCUSKI LONDYNIE

Do Londynu zjechał na trzy tygodnie na występy w St. Jame's Theatre znakomity aktor i reżyser francuski Jean-Luis Barault wraz z żoną, również wybitna aktorka Madelaine Renaud oraz z całym zespołem. Barraut z żoną przejęli szereg lat temu teatr Marigny, uroczo położony przy Champs Elysées i zrobili z niego pierwszorzędny przybytek sztuki dramatycznej. Część tego repertuaru grali obecnie w Londynie.

W tzw. International Theatre Institute, organizacji mającej na celu zaznajamianie publiczności brytyjskiej z grą zagranicznych artystów i odwrotnie, Sir Laurece Olivier wygłosił prelekcję o zasługach Barrault i Madeleine Renaud.

BIERZMOWANIE W KOŚCIELE POLSKIM W LONDYNIE

Dla dzieci polskich, które przystąpiły do Pierwszej Komunii św. jak również dla osób starszych, które nie przyjęły jeszcze Sakramentu Bierzmowania będzie okazja przyjęcia go w kościele polskim przy Devonia Road, N. 1. w niedzielę, 18 listopada, o godz. 4 po południu.

Sakramentu Bierzmowania udzieli i nabożeństwo odprawi J. E. Ks. Biskup Craven, Sufragan Westminsterski.

Zgłoszenia należy kierować do polskich duszpasterzy.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6979. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na sw. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry: w Anglii: kwartalnie 7/-, półrocznie 13/6, rocznie 26 sh. Wszelkie przekazy pieniężne należy wystawiać na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £1; w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca", Av Leandro N. Alem 64. — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 50 frs., kwartalnie 150 frs. Przedstawicielstwo: E. Kuśnierz, 15, rue Or du Bourdon, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.50 DM. Przedstawicielstwo: „Informacja Prasowa" Bad Godesberg, Schulstrasse 2, Postfach 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 5 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund, Sverige. Sweden. — U.S.A.: kwartalnie 2.50 dol., półrocznie 5 dol. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publications, 858, Wager St. Utica, N.Y. 3) E. Baliński, 1980 Wabansia? 7, Michigan 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.